Nr. 2 Warszawa, 13 Stycznia 1912 roku. Rok XLVIII

PRENUMERATA W WARSZAWIE:
Miesięcznie kop. 60, kwartalnie rub. 1 kop. 80, półrocznie rub. 3 kop. 60, rocznie rub. 7 kop. 20.
Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rub. 10, kwartalnie rub. 2 kop. 50.
CENA OGŁOSZEŃ: za wiersz 1-o szpaltowy nonparelem lub jego miejsce „za tekstem" kop. 30; ogłoszenie zwyczajne kop. 20. „Nadesłane" kop. 75, margines rb. 6. Kolumna rb. 150. Załączniki rb. 6 za tysiąc.
CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO KOP. 20.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE POŚWIĘCONE SPRAWOM KOBIECYM.
Pod redakcyą ZOFII SEIDLEROWEJ.
Ekspedycya główna: Nowy-Świat 41.
Drobnych rękopisów nie zwraca się.—Tel. Red. 105-22. Tel. Adm. 220-86.

W Cesarstwie Austryackiem: We Lwowie w głównej ekspedycyi „Bluszczu" Pasaż Hausmana 9, kwartalnie kor. 5, na prowincyi z przes. poczt. kor. 6.60.
W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie kor. 5 na prowincyi z przesyłką pocztową kor. 6.60.
W W Ks. Poznańskiem dla abonentów „Dziennika Poznańskiego": w Poznaniu kwartalnie 3.60 marek z przesyłką pocztową 4.30 mk.

Jedenasta plaga... nie egipska.

Szczęśliwą jest kobietą p. Curie-Skłodowska.

Zawiść zawodowa sprzymierzyła się z zazdrością kobiecą, by rzucić na nią potwarz— co nie jej pierwszej się zdarzyło i samo w sobie jeszcze szczęścia nie stanowi — ale ujęła się za nią, i słusznie, opinia publiczna całej cywilizowanej Europy.

Oburzył się na złość i kłamstwo cały ogół inteligentny — oburzyli się ci, którzy w zwykłym stanie rzeczy puszczają mimo uszu wieści potwarcze, rzucające cień na dobre imię jednostek, nieraz, zupełnie niewinnych — oburzyli się ci nawet, bardzo liczni, którzy z przyjemnością słuchają wszelkiej obmowy, wcale się o to nie troszcząc co treść jej stanowi: czy kłamstwo rozmyślnie głoszone, czy też —prawda, ale w złośliwej intencyi rozgłaszana.

Oburzyli się wszyscy! Co więcej — ujęli się za spotwarzoną, postarali się dojść prawdy i tę prawdę dać poznać ogółowi.

I to jest właśnie szczęście, którego uczonej rodaczce zazdroszczę, szczęście zupełnie osobliwe.

Bo od stworzenia świata zdarzyło się to chyba po raz pierwszy, aby nie mąż, nie syn i nie brat, lecz ludzie obcy, poczuciem sprawiedliwości powodowani, ujęli się za spotwarzoną kobietą!

Może to oburzenie ogółu będzie szczęśliwym początkiem korzystnej w usposobieniu naszem zmiany? Może odtąd ludzie, dbali o czystość własnego sumienia, będą sobie uważali za obowiązek, jeżeli nie występować w obronie jednostek, słusznie lub niesłusznie o coś oskarżonych, to przynajmniej nie powtarzać krążących o nich wieści, dopóki się nie upewnią, że wieść ta jest prawdziwą? (Bo wymagać, aby nie powtarzano *prawdziwej*, to na początek zawiele! Na to trzeba wyższej kultury etycznej, której nam dotąd brak...)

Byłby to już ogromny krok ku lepszemu. Krok tak epokowy, że gdybyśmy go uczynili w r. 1912 (czego na chwałę roku gorąco pragnę!) to za lat sto naprzykład używano by w rozmowach zwrotu: „Ależ z pewnością! To było w tym roku, kiedy zaprzestano obmawiać się nawzajem..."

Bo dziś rzeczy mają się zupełnie inaczej!

Jedenasta plaga egipska — obmowa — zyskała sobie w obcowaniu towarzyskiem prawo obywatelstwa i rozwielmożniła się w niem zuchwale, więcej czyniąc krzywd i spustoszeń niż dziesięć razem wziętych plag biblijnych.

Tamte bowiem, dolegliwe i zabójcze, były dopustem Bożym, zesłanym na okrutnych prześladowców; ta—stwór ohydny, przez złość i próżniactwo spłodzony, z rozkoszą bierze na się rolę prześladowczyni i sforą poszczekujących dwunogów szczuje bezbronną i bezwinną zwierzynę ludzką.

I niewiadomo kto do urządzania tej budującej naganki pochopniejszy: Anioły ognisk domowych, czy Filary społeczeństwa! Jak jedne bowiem tak i drudzy szarpią z rozkoszą dobrą sławę bliźnich, z radością przypinają im łatki, z najżywszem zadowoleniem mówią o nich wszystko złe, jakie do powiedzenia mieć mogą.

A nawet i to, czego nie mają i mieć nie mogą wcale!

Z tą jedynie różnicą, że mężczyzna napada brutalniej, obmowie nadaje kształt konkretniejszy, osoby obmawianej najczęściej nie lubi i niechęci swej czy nawet i nienawiści nie tai. Odrazu poznać można, że upokorzoną została jego miłość własna, zranioną ambicya, odepchniętą natarczywość, więc mści się i odwet sobie bierze — zdawna bowiem przywykł korzystać bez skrupułu z praw silniejszego i z przywileju nieomylności, przysługującego... nietyle głowom, ile — półgłówkom rodziny, która zdanie swego bożyszcza powtarza bezkrytycznie.

Kobieta inaczej sobie poczyna. Półgębkiem, nieśmiało, jakby przez miłość prawdy niechętnie konieczny obowiązek spełniała, wzdycha nad „biedaczką", którą „lubi z całego serca i z całej duszy żałuje", lecz o której mimo to powie wszystko, co o niej złego słyszała, a drugie tyle dołoży.

To ma tylko wspólnego obmawianie męzkie z kobiecem, że się przed kłamstwem nie cofa i skrupułami uczciwości nie rządzi.

Dlatego też kwitnie, buja, rozrasta się i staje — *jedenastą plagą*, —nie egipską, niestety, ale czysto miejscową, naszą, warszawską!

Gdybym kiedykolwiek dzierżyła w ręku władzę prawodawczą, (na co się, niestety, nie zanosi), ustanowiłabym drakońskiej surowości przepisy, wymierzane przeciwko tym, dla których najulubieńszym tematem rozmowy jest szkodzenie sławie bliźniego.

Najsurowiej, ma się rozumieć, karałabym tych, moralnie zrobaczywiałych, którzy przez mściwość lub zawiść puszczają w świat wymyśloną przez siebie wieść potwarczą. Takich na-

leżałoby piętnować, jako szkodników społecznych, wyłączyć ich z towarzystw i ścigać nieubłaganie pogardą, wychodząc z zasady: „każdy po sobie sądzi". A zatem: o co bliźniego obwiniam, do tego i sam zdolny jestem.

A nie przepuściłabym też i takim, którzy wieść usłyszaną — choćby nawet była prawdziwa — powtarzają, czy to z dodatkami własnymi, czy bez..

Takim, dla których „mówiono mi" i „słyszałam", stanowią dostateczne usprawiedliwienie do zajmowania się postępkami bliźniego, czyli inaczej mówiąc: do ostrzenia języka na dobrej sławie osób, często zupełnie nam nieznanych, a zatem od wszelkiej względem nas winy wolnych.

Wiem i rozumiem, że są okoliczności wyjątkowe, w których ma się prawo, a nieraz i obowiązek — mówić o kimś, postępowanie jego sądzić, wyrok na niego wydawać. Ale powtarzam: są to okoliczności wyjątkowe, nie każdemu przytrafić się mogą — przedewszystkiem zaś nie stanowią tematu rozmowy, do której należą A i B, X i Z, oraz wszyscy niepowściągliwością językową na punkcie bliźniego dotknięci.

Wyznaczyłabym zato jakieś listy pochwalne, jakieś dyplomy uznania dla pań domu, umiejących w swoim salonie tak rozmową kierować, że, nie przestając być ożywioną i dla wszystkich zajmującą, nie dotyka jednak osobistości i na chwilę nawet nie zniża się do poziomu obmowy.

Paniom domu przyjść powinna z pomocą opinia publiczna. Dziś trudni się ona przeważnie naganką na dobrą sławę bliźniego, a jednak ona to właśnie powinnaby stać na straży tejże sławy i godzić pociskami nieubłaganego ostracyzmu w kolporterów „słyszałam" i „mówiono mi", zapobiegliwie roznoszących zarazę trądu moralnego, który toczy społeczeństwa ugrzęzłe w błotku powszedniości.

A gdyby mnie kto zapytał: „O czemże mówić będziemy?" to mu odpowiem, że tylko płytkie umysły i analfabeci ideowi uskarżać się mogą na brak tematów do rozmowy. Narzuca je nam położenie, nasuwają różnorakie zagadnienia dzisiejszości — co więcej: zmusza nas do roztrząsania ich sama konieczność życiowa.

Boć trzeba przecie zoryentować się w warunkach chwili — zrozumieć jej doniosłość — sercem i umysłem do jej wymagań dorastać?

Dziś pochlubić się tem nie możemy. I w tem głównie, że w rozmowach towarzyskich tak rzadko poruszane bywają tematy ogólniejszego znaczenia leży przyczyna naszego stępienia etycznego, naszej czczości i ciasnoty myślowej, sprawiających, że kto ma umysł nieco wyższy, sumienie nieco drażliwsze, ten — albo od towarzystwa stroni, albo, jeśli jest do udzielenia mu się zmuszony — formalnie dusi się w niem, jak ptak w próżni bezpowietrznej zamknięty.

Ale że to, co uważam za przyczynę naszych niedostatków i usterek, jest zarazem ich następstwem (zupełnie zresztą naturalnem i zupełnie nieuniknionem), więc wytwarza się z tego błędne koło, w pośród którego stoimy... bezradni!

Jakże zeń wyjść? Niema innego wyjścia— krom radykalnej sanacyi nawyknień, radykalnej dezynfekcyi pojęć...

...*Radykalnego w duszach naszych przewrotu!*

Tak: „Przewrotu"! Bo trzeba nam się nauczyć rzeczy, zupełnie nam dotąd obcej.

Nauczmy się kochać jedni drugich — nauczmy się szanować siebie nawzajem!

Zamiast *homo homini lupus*, głośmy hasło: *Home homini res sacra!*

A wtedy zamiast głuchej niechęci lub podejrzliwej obojętności, które są dzisiaj podwaliną stosunków między-ludzkich, oprą się one na Miłości bratniej, na wzajemnem ciążeniu ku sobie serc, na szukaniu się Duchów pokrewnych i zakwitną przecudnym kwiatem łączności a pracy, zespołu w myślach, harmonii w dążeniach...

Jakżeśmy dzisiaj od tego ideału dalecy!

T. Prażmowska.

□□□□□□□□□□

MORALNOŚĆ i POSTĘP.

Są utwory literackie, dające się porównać ze źródłem krynicznej wody, która dla spragnionego i zmęczonego człowieka staje się skarbem, z jakiego czerpie on siłę ożywczą, energię, i chęć do życia. Nasze zapatrywania na świat i ludzi, zamglone są pesymizmem, większość ludzi skłonna jest wierzyć, że na świecie coraz gorzej się dzieje, że niema już wyjścia dla ludzi zrywających z tem, co wieki obowiązywało, a szukających nowych cegiełek do zbudowania gmachu ustroju społecznego, zapewniającego szczęście, zadowolenie i prawa wszystkich.

Pisarz angielski Karol Dole w swej „Etyce Postępu" roztacza barwny obraz, wyłaniający się z chaosu pojęć nowej niewzruszonej moralności, starając się pomódz ludziom w sztuce dobrego życia. Wierzy w ludzkość, twierdzi, że każdy człowiek ma w sobie pierwiastek boży, największy z etycznych impulsów, który musi dopomódz ludziom do przejścia przez długą drogę ewolucyi pojęć „o złem i dobrem" i doprowadzi kiedyś ludzkość do szczytów człowieczeństwa.

Wszystkie zagadnienia etyki przemyślał głęboko i określił zasadnicze podstawy „moralnego" postępowania.

Ciekawe są jego zapatrywania na małżeństwo i na stosunek wogóle obu płci do siebie. „Naszą rasę anglo-saksońską — mówi on— uważamy za najczystszą wśród narodów, a przecie przodkowie nasi przez setki lat traktowali żony, jak istoty przeznaczone do służenia im.

Wszak niedawno jeszcze dziewczęta wychodziły za mąż z rozkazu rodziców, sprzedając się za pieniądze czy stanowisko społeczne. Czy w historyi świata istniało prawo wymagające czystości życia tak od mężczyzny, jak kobiety? Czy było kiedy dla niego grzechem i wstydem to, co dla niej było zgubą i śmiercią? Dlaczego upieramy się przy monogamicznych związkach, chociaż tak często one zawodzą?

Są ludzie, którzy twierdzą, że instytucya rodziny jest tylko przeżytkiem starej maszynerji, pragnęliby mieć w przyszłości związki swobodniejsze, niż te dzisiejsze, wiążące kobietę z mężczyzną „aż do śmierci".

Niegdyś uważano poligamię za rzecz słuszną; żadne prawo, żaden głos sumienia nie zakazywał jej. Skąd wiemy, że monogamja trwać będzie wiecznie?

Pytania te tak ważne obejmują historyę wszystkich ludów, odnoszą się do wychowania każdego chłopca i dziewczyny.

Wiemy już, że człowiek musi robić nie to, co mu sprawia przyjemność, co zadawalnia jego pożądania i apetyty, ale to, co mu nakazuje dobra wola; nie to, czego wymaga jego egoistyczne ja, identyfikujące go ze wszystkimi ludźmi, z całym wszechświatem.

(Dobrą wolą autor nazywa pierwiastek moralny, zdaniem jego panujący we wszechświecie, wrodzony każdemu człowiekowi, za głosem którego pójść muszą kiedyś wszyscy).

Prawo to jest podstawą każdego zagadnienia moralnego, łatwo je zastosować i do kwestyi miłości wzajemnej obu płci.

Co tworzy najwyższą formę miłości tak mężczyzny, jak kobiety? Miłość najwyższa— to gotowość do ofiar i poświęceń dla osoby kochanej, szukanie jej zadowolenia i szczęścia, w przeciwieństwie do miłości egoistycznej, pragnącej wszystkiego dla siebie. Im czystsza jest miłość, tem więcej czyni i daje osobie ukochanej; taka jest prawdziwa miłość tak u mężczyzny, jak kobiety.

Żaden kodeks, żadne prawodawstwo nie nauczy takiej miłości, pojęcie o niej wynikło z długich doświadczeń w przeszłości.

Niema bogatszej i szczęśliwszej miłości nad taką miłość. Ona daje moc praktykującym ją małżonkom, moralną i duchową potęgę dzieciom; ona narzuca ścisłe, lecz dobroczynne przepisy wzajemnej wierności i czystości w związkach płciowych.

Typ idealnych związków znajdujemy nietylko w monogamii, pociągającej za sobą spełnianie przyjętych zobowiązań; nie w unikaniu ich, ale w ścisłem ich przestrzeganiu leży szczęście.

Pisarze radykalni, doradzający śmiałe eksperymenty w imię miłości, działający może pod wpływem rycerskiego impulsu, dążącego do dania większej swobody kobietom, zapominają o najgłębszych prawach życia. Miłość między kobietą a mężczyzną nie może trwać, jeżeli jest egoistyczna. Jakież więc postępowanie, jaka forma małżeństwa przyśpieszy lub opóźni rozwój prawdziwej miłości, wiążącej ze sobą mężczyznę i kobietę dobrej woli? Przedewszystkiem zwrócić tu trzeba uwagę na fakt jeden.

Każdy uczciwy, szlachetny człowiek wie, jak chciałby, aby jego matka, córka czy siostra traktowane były. Jakiemże prawem śmiałby traktować inaczej córkę czy siostrę innego człowieka?

Nie mamy tu do czynienia ze sprawą jednostki, ale z czynami obrażającymi całe społeczeństwo, przynoszącymi szkodę następnym pokoleniom.

Ludzie nie mogą być barbarzyńcami w obliczu cywilizacyi, bez ściągania na siebie kar, godnych barbarzyńców. Jak tylko ludzie stają się ludźmi, patrzą na czyny zwierzęce, jak na niebezpieczeństwo grożące ludzkości. Czyny ohydne jednostki w ściśle związanem społeczeństwie stają się zarazą i raną bolesną.

Spójrzmy teraz, czem jest poligamia w jej legalnej i nielegalnej formie. Widocznem jest,

że jest ona przeżytkiem czasów barbarzyńskich.

Instytucya ta stworzona była nie dla ogółu, a dla poszczególnych ludzi. Przedstawiała ona ideę męzkiej władzy i kobiecego poddaństwa. Pozwalała mężczyźnie na to, co zakazywała kobiecie. Sprzeczną jest z tym wyższym i bardziej uduchowionym typem miłości między mężczyzną a kobietą, która stała się prawem w świecie cywilizowanym. Nie dążyła nigdy do uszlachetnienia kobiety, nie dbała o moralne dobro dzieci, potępiło ją w końcu sumienie społeczne, jak również prawodawstwo państw chrześcijańskich.

Weźmy teraz pod uwagę ludzi, którym związki małżeńskie wydają się zbyt krępujące. Co im powiemy?

Zasada jest jedna. Niedość wykazać, że dwie osoby nie wyrządzają sobie krzywdy, nie krzywdzą nawet kogoś trzeciego, ale nasuwa się pytanie: czy działacie dla trwałego dobra społeczeństwa? Czy uważacie, że dobrem byłoby dla innych mężczyzn i kobiet pójście za waszym przykładem?

Kwestyę rozwodu należy też rozpatrzeć.

Ludzie pragną jakiegoś zewnętrznego, niewzruszonego autorytetu. Cytują naukę wielkiego Mistrza z Galilei i chcą wierzyć, że w interpretacyi jego słów znajdują ostateczne rozwiązanie kwestyi narodowej. Formułką jednak zadowolnić się nie możemy.

Rzucamy pytanie: Czy zdrada ze strony żony, złamanie wiary ze strony męża, niszczą prawdziwy związek małżeński?

Odpowiadają nam—tak.

Ale przecież poza tem są inni straszniejsi wrogowie związków małżeńskich. Jeżeli mąż bije żonę, jest dla niej okrutny, nie kocha jej, poniża w niej kobiecą godność i robi z niej swą niewolnicę?

O powiedz nam, idealny Chryste: czy kobieta może rzucić męża dla jednej przyczyny, a pozostać z nim wiecznie, choć nigdy jej właściwie nie kochał, a przysięga małżeńska była tylko odegraniem komedyi?

Gdzie nie było nigdy prawdziwego małżeństwa, mająż być święte słowa: „Kogo Bóg złączył na ziemi nierozerwalnym łańcuchem, wiążącym ciała, gdy dusze są w rozłące?"

Mylą się ci, którzy sądzą, że Chrystus nawiązywał kwestye, nasuwające się dopiero dziś, po wiekach minionych doświadczeń.

Przy rozwiązaniu tych zawiłych zagadnień, musimy się kierować jedną tylko zasadą.

Musimy czynić tak, jak się wydaje najlepszem dla wszystkich ludzi. Powszechnie uznanem zostało za złe, zawieranie związków bezmyślnych, przejściowych, porzucanie się dla kaprysu, fantazyi, czy namiętności, dla zawierania nowych związków.

Okrucieństwem jest dla dzieci zawieranie związków nieodpowiednich.

W świecie pełnym ludzi niewyrobionych, arogancyą jest ze strony sofistycznych jednostek, domagania się dla siebie wolności postępowania, które, jak doświadczenie wykazuje, wprowadziłoby moralny chaos wśród ogółu.

Wszelkiemi siłami trzeba grożącemu złu stawiać tamę i nakłaniać ludzi do utrzymania powagi i nienaruszalności rodziny.

Żadne prawo nie zbuduje rodziny idealnej, ona zawsze jest tylko wytworem miłości i wierności. Prawo może tylko zachęcać społeczeństwo do rozwijania się w kierunku rodziny idealnej, związanej uczuciem szlachetnej, opartej na wzajemnych zobowiązaniach wolnej od wszelkich wyrachowań miłości.

Nie należy się lękać, by ona uległa zniszczeniu z braku opieki prawnej, lub wskutek czynionych przez ludzi niebezpiecznych prób, poza jej granicami. „Co jest tak doskonałem, jak doskonałym jest Bóg — trwa wiecznie". Tak się zapatruje na związki małżeńskie pisarz angielski i wierzy głęboko, że ludzkość po dokładnem zrozumieniu etyki postępu dojdzie do takiej moralności w stosunkach rodzinnych.

Emilia Węsławska.

□□□□□□□□□□□

Odpowiedź na artykuł „U steru"

w N-rze 12 miesięcznika „Ster".

Zamierzając polemizować z artykułem „U steru", zamieszczonym w ostatnim, grudniowym zeszycie organu równouprawnienia kobiet polskich, „Ster", muszę przedewszystkiem żałować, że artykułu tego nie podpisano. Czy jest to urzędowy wyraz opinii redakcyi? Czy też głos pojedyńczego współpracownika?

Jakkolwiek rzecz się przedstawia, dobrze byłoby w każdym razie, aby członek redakcyi, korygujący artykuły, czytał jednak uważnie ostatnią rewizyę numeru i robił korektę nietylko literową! Znając zdawna zasady kierowniczek „Steru", wierzę mocno, iż przy uważnem czytaniu nie poszedłby był do druku bez poprawki cały wstęp artykułu, zupełnie bowiem zbytecznym balastem treści są wiadomości o tem czy i jakie były rozłamy w Stowarzyszeniu równouprawnienia, a mylną jest informacya o osobach stojących jakoby „u steru". Sterem stowarzyszenia są nie trzy wymienione panie, lecz zarząd, złożony z jedenastu osób, do których i niżej podpisana ma zaszczyt należeć,

To „w kwestyi formalnej", a teraz przechodzę do istoty rzeczy.

Autor czy autorka artykułu twierdzi, że Stow. równouprawnienia postąpiło źle i niesłusznie, ogłaszając list do Tow. Prawniczego, pomieszczony też w № 48 „Bluszczu".

Czytelnicy „Bluszczu" znają treść tego listu, znają i okoliczności, które spowodowały jego wysłanie, powtarzać tu ich nie będę. Otóż ten krok krytykuje, w „Sterze" zamieszczony artykuł.

„Nie chodzi nam o obronę Tow. Prawniczego, które jej nie potrzebuje, ale o niedość rozważne wystąpienie Stowarzyszenia kobiecego i to jeszcze Stowarzyszenia równouprawnienia".

Oto zasadnicza treść artykułu, kilkakrotnie tylko w różnych waryantach powtórzona.

Nie chodzi mu o obronę Tow. Prawniczego, ale od niej zaczyna, dowodząc punkt po punkcie, że Towarzystwo nie miało obowiązku ani potrzeby zwracać się do Stowarzyszeń kobiecych.

Nad treścią tych właśnie „obowiązków" Tow. Prawniczego (podług artykułu „Steru"), chciałabym się bliżej zastanowić.

Towarzystwo Prawnicze jest zrzeszeniem naukowem zasadniczo — racya, ale prawo oprócz swej strony naukowej posiada niemniej ważną i żywotną stronę społeczną, o niej zapomnieć żadnemu prawnikowi ani na chwilę nie wolno, bo ta strona społeczna wchodzi na każdym kroku w życie, dyktuje prawa, stylizuje ich treść, jest ruchem, żywem zastosowaniem samej naukowej zasady.

I dlatego Towarzystwo Prawnicze, dyskutujące o paragrafach kodeksu regulujących życie ludzi: prawa handlu, komunikacyi, prawa rodzinne lub międzynarodowe, nie może stać na stanowisku Towarzystwa lekarskiego np., urządzającego sobie badania hodowli bakteryologicznych — dla członków i pomiędzy członkami wyłącznie!

Ta „swoja" opinia Tow. Prawniczego nie była kwestyą ani „ściśle fachową", ani „ściśle wewnętrzną", wyłącznie.

Wcale nie, stroną fachową była techniczna budowa danych artykułów, kwestya zestawienia i uzgodnienia ich z innemi częściami kodeksu, ich treść prawna jednem słowem, ale nigdy ich treść społeczna, której istnienia i ważności nikt tu zaprzeczyć nie może.

A do wypowiedzenia się o tej treści któż inny i kto więcej był powołanym nad kobiety, skoro o nie tu chodziło?

Autor artykułu pyta: „Skądże Tow. Prawnicze ma wiedzieć jakich uzupełnień pragną i potrzebują kobiety?" Bardzo prostym sposobem— zapytać się tychże kobiet! I o to tylko chodzi. Tu jest właśnie cały punkt ciężkości, nie zarzutu, jak mylnie twierdzi artykuł, ale żalu, któremu równouprawnienie dało wyraz w swym liście.

Twierdzenie, że stowarzyszenia kobiece powinny były same zwrócić się do prawników, niczego tu nie dowodzi. Jest ono w zasadzie słuszne, stowarzyszenia kobiece zamiar ten mają, projekty wypracowują i do prawników je zwrócą, ale to jest zupełnie inna strona sprawy i fakt że z projektem dotąd nie wystąpiono zupełnie, nie usprawiedliwia tego, iż Tow. Prawnicze, mając do rozważenia prawa, dotyczące kobiet, nie uznało za stosowne zapytać się tychże kobiet — co wy o tem myślicie? Było to niezaprzeczonem tego Towarzystwa prawemi obowiązkiem, nawet w razie zupełnej nieświadomości co do opinii kół kobiecych. A tak nie było.

I zaręczyć można, że gdyby Stowarzyszenie dostało do opracowania projekt tyczący interesów pewnej grupy kupców, przemysłowców, robotników — etc., nie zaniedbałoby poznania ich opinii.

Były zresztą podobne procedensy z samą nawet sprawą kobiecą, gdyż do tegoż Stowarzyszenia równouprawnienia zwracało się Tow. Prawnicze o *opinię*, w sprawie reformy prawa o dzieciach nieślubnych, a nie dalej jak pół roku temu urządziło z udziałem kół kobiecych dyskusyę o prawach kobiet w samorządzie, bowiem rozumieli dobrze członkowie sekcyi prawa cywilnego, iż jeśli Tow. Prawnicze jest wyrazem fachowej strony tych spraw, to stowarzyszenia kobiece, a zwłaszcza stowarzy-

szenia równouprawnienia są „z urzędu" przedstawicielami ich strony społecznej.

Działalność ich więc i opinia winny się dopełniać. Dlatego to kilkakrotnie już Tow. Prawnicze zwracało się do naszych stowarzyszeń i pewien kontakt pracy wspólnej był nawiązany — niewezwanie nas do ostatniej dyskusyi nad projektem ministeryalnym przypisać poprostu należy, (jak to wymotywowało w swej odezwie nasze Stowarzyszenie), zapomnieniu i niedostatecznemu zainteresowaniu się istotą sprawy kobiecej ze strony prawników.

Z tego też powodu Stowarzyszenie równouprawnienia wyraziło Towarzystwu Prawniczemu swe ubolewanie, do kroku tego miało prawo, bez względu czy zrzeszenia kobiece informowały czy nie informowały prawników o swych postulatach. Prawnicy, decydując o prawach kobiet dotyczących, powinni byli w każdym razie starać się poznać opinię strony zainteresowanej, dowodzenie, że chodziło tu wyłącznie o techniczno-prawną stronę projektu ministra, jest zupełnie bezpodstawne, dowiodła tego, choćby dyskusya na posiedzeniu Tow. Prawniczego, gdzie gorąco rozprawiano o stanowisku kobiet — tylko... bez ich udziału.

Odezwa Stow. równouprawnienia do Tow. Prawniczego, utrzymana w tonie najuprzejmiejszym, nie była zarzutem ani naganą, raczej zwróceniem uwagi na sprawę, a w końcu zaproszeniem do dalszej, wspólnej pracy, dziwić się tylko można dlaczego wywołała takie niezadowolenie i dlaczego niezadowolenie to znalazło wyraz na łamach pisma, będącego organem związku tych samych, co Stow. równouprawnienia tendencyi i tak samo w pracy nad reformą kodeksu zainteresowanego.

Krytyce podlegają stowarzyszenia jako jednostki publiczne i krytyka jest dla nich pożądaną, ale aby była taką, musi: nie tykać nazwisk i spraw osobistych, wewnętrznych, a mieć zasadniczo słuszność. Tych dwóch warunków nie posiada wyżej wymieniony artykuł.

Natalia Jastrzębska.

Dziad i Baba.

NIEDRUKOWANA BAJKA
Józ. Ign. Kraszewskiego.

Siadła Taradajka na ławie i poczęła myśleć.

— Co my z temi pieniędzmi będziemy robili. Stary to zaraz do gospody pociągnie i pić będzie—niedoczekanie! Toć nie jego pieniądze, ale nasze, już choćby połowę musi mi dać. Po sprawiedliwości, choćby na skargę przyszło iść!

Wbiegła jeszcze raz do komory szukać i nie znalazła, a zła się zrobiła bardzo. Ogień przygasał, dorzuciła łuczywa.

— Co mamy sobie żałować! — rzekła. —

Już kury piały, a Taradaj nie wracał, baba zasnąć ani myślała, przyglądała się swemu dukatowi, a ciągle układała co zrobić z pieniędzmi, i pilno jej było dziada doczekać, a złajać go jak zasłużył. Drugie kury piały, gdy w sieniach drzwi skrzypnęły i dziad wszedł milczący, zmęczony, zmokły, a ławy dopadłszy, zawołał:

— Babo! jeść!

Kluski się pono aż przypaliły, bo je dopiero teraz przypomniała, pilniejsze od klusek było łajanie starego.

— A gdzieżeś to pieniądze wetknął? — zawołała. — Cóżeś to wiary we mnie nie miał, czy co? Zamiast je żonie oddać, toś licho wie, gdzie wściubił. Ej-że!

Pokazała mu pięść, a dziad się nawet nie zżymnął.

— Kluski — zawołał — to twoja rzecz, a pieniądze moja!

— A zjadłbyś kaduka! — zakrzyczała baba, biorąc się w boki — albo to pieniądze twoje? Toć nasze, nie twoje! Nasze! rozumiesz?

— Nieprawda, moje — rzekł dziad — tobie jednegom czerwońca dał, to go sobie trzymaj nie odbieram, a co moje, to moje, tego i nie powąchasz...

Baba krzyknęła na całe gardło.

— Tak to już!

— Ano, tak! a jakże miało być? — począł dziad, albom to ja darmo tego czarnego Biesa na rozstaje wodził po błocie i słocie, nogi zrywał i strachu się najadł?

Z wielkiego gniewu, baba płakać poczęła, weszła do komory, zatrzasnęła drzwi za sobą i wołała przez nie:

— Schowałeś je tu w komorze, nie chcesz się podzielić, podpalę chatę, niech pieniądze i ją i ciebie licho bierze!

Dziad się śmiał.

— Jaka bo ty głupia — począł — jam ich w komorze nie chował, trzymam je za pazuchą! Do komorym poszedł tylko, aby się podróżnemu zdało, żem je położył tu, bom się bał, aby mi ich po drodze nie odebrał. Pal chatę! Spal się sama, a mnie co? Ja teraz o to nie dbam.

Usłyszawszy to, wyszła Taradajka spłakana. Poczęła już inaczej mówić, przypominając, jak to oni z sobą tyle lat przeżyli, tyle chleba i soli zjedli, jak on był nie wdzięcznym za to, że go tyle razy pielęgnowała w chorobie i gdy mu głowę w karczmie rozbito i t. d.

Dziad trochę zmiękł.

— Daj-no kluski — rzekł — poładzimy się z sobą. — Juści ja pieniędzy nie połknę.

Podała baba kluski, ale sama ich nie tknęła. Gadali i gadali, na resztę nocy nie kładąc się spać, a w końcu zaklęli się oboje, ażeby uchowaj Boże, nikomu w świecie nie mówić o tych pieniądzach.

Baba przyrzekła, a Taradaj też powtarzał— albo ja głupi...

Zrana wypogodziło się jakoś, poszedł więc Taradaj do gospody, na piwo. Miał tam starego jednego dobrego druha Pasimuchę, poczciwe bardzo człeczysko. Kazał dla dwu piwa postawić.

— Wiesz, stary — szepnął mu w ucho, po drugiej półgarncówce — jakby ty się zaklął, że nikomu ani piśniesz, jabym ci co zwierzył.

Zaklął się strasznie Pasimucha, bodaj zczezł, bodaj świata nie oglądał, bodaj roku nie dożył i t. p. Naówczas Taradaj mu po cichu, ręką się zasłaniając, od a do z opowiedział wszyściutko i na dowód pokazał dukata.

Pasimucha oczom nie wierzył, dukata w zęby wziął, próbował kąsać i głową kiwał i wyszli z gospody na gawędę za płoty.

Taradajka też wyszedłszy z chaty, wprost pobiegła do kumy swej do Opójduchowej, u której dziecko było słabe. Poczęstowali ją krupnikiem, napiła się trochę raz, słodki był, popiła drugi.

— A! moja ty Opójduchowa, serdeczna i stateczna, moja ty jedyna, jakbyś ty się zaklęła na duszę, na zbawienie, że nikomu nie powiecie, to ja by wam coś osobliwego zwierzyła.

Opójduchowa uderzyła się w piersi kułakiem.

— Czy ty mnie nie znasz, czy ty nie wiesz, że ja umiem język trzymać za zębami. A już ci się klnę na wszystko najświętsze...

Taradajka nachyliła się jej do ucha i wyspowiadała. Poczęła w ręcę plaskać, a psy wieszać na dziadzie, że sobie skarb chciał przywłaszczyć. Trzeciego czy czwartego dnia po wsi pletli różne rzeczy, że Taradaj ćwierci pożyczał w karczmie, na której smoły trochę było u dna, a gdy ćwiartkę odniósł — dukat znaleźli do niej przylepnięty. Drudzy mówili, że dyabłu duszę sprzedał, inni, że stara kura niosła jaja dukatów pełne, a nareszcie, iż barana miał w komorze, który jak się strząsł, sypały się z niego czerwieńce. Przed Taradajem siaki taki czapkę zdejmował, czego nigdy dawniej nie bywało. Staremu to pochlebiało i mówił sobie:

— Nie wiedzą, ano takie nosy mają! ho! ho!

Chodził teraz z rękami w kieszeniach, czapka na bakier. Najgorsza była rzecz, wieczorami, z babą dzień w dzień się kłócili, co z pieniędzmi robić. Ona co innego chciała, a on co innego. Krowy jej trzeba było koniecznie—jemu konia i wozu. Dalej grunt by byli kupili. Dziad rozumniejszy głową trząsł. — Jak ludzie zobaczą, że grosz mamy, pokoju nie będzie; trzeba tak żyć, jakby my go nie mieli.

— A pocóż nam się on zdał? — pytała baba.

— Na czarną godzinę.

— Toć już czarniejsza być nie może, jak dziś.

— Eh! co ty głupia babo znasz! — kończył Taradaj i szedł do gospody radzić z Pasimuchą.

Taradajka wlokła się do Opójduchowej i płakała.

— Żeby nie stara baba bestya — mówił Taradaj — hm! jeszczebym sobie młodą żonkę wziął i gospodarstwo prowadził.

— Żeby nie ten stary dziad, co mi życie zawiązał — szeptała Taradajka — żebym takie pieniądze miała! A toć ja od niego o lat piętnaście młodsza jestem, jeszczebym za parobka wyszła za mąż jak należy i trochę świata skosztowała.

Oboje starzy, co z sobą żyli mało nie pół wieku, dla tych pieniędzy znienawidzili się i jak tylko spotkali — ząb za ząb gryźli.

— A bodajbym ja była...

— A bodaj ja był... kiedy ja się z tobą żenił...

Jednego dnia do tego przyszło, że dziad babę z chaty wygonił.

Poszła płacząc, został sam. Pod wieczór jakoś mu było nieraźno, otworzył drzwi i popatrzał czy jej nie ma, parę razy kaszlnął głośno — ani słychu. Czekał do późnej nocy — nie wróciła. Wstał zły i na siebie i na nią.

Do Opójduchowej poszedł szukać i tam jej nie było, w gospodzie też, na wsi nie widział nikt. Dziadowi zrobiło się na sercu bardzo smutno.

— Chowaj Boże się co stanie, na sumieniu będę miał! — rzekł do siebie.

Baba tymczasem, pożegnawszy przyjaciółkę, po żebraninie się powlokła.

Wprawdzie Pasimucha przesiadywał u Taradaja po całych dniach, ale to nie pomagało. Przyszły i inne kłopoty, ludzie o pieniądzach się dowiedzieli, ten i ów zaglądał, posądzano dziada o kradzież, o rabunek, nareszcie zamknięto do kłody. Szczęściem pieniądze wprzódy w ziemi zakopał.

Dostawszy się do ciupy, Taradaj był już tak nieszczęśliwy, że włosy sobie darł z głowy.

— A niechaj by te przeklęte pieniądze licho brało! — wołał.

Przeszedł miesiąc czy więcej, dziada nie wypuszczano. Opójduchowa poszła na odpust, patrzy siedzi z garnkiem Taradajka, rękę wyciągnęła i żebrze:

— Za duszyczki znikąd ratunku nie mające.

— Miły Boże! A toć ona! — zawołała — a wiecie, co się z waszym stało? Toć siedzi zamknięty już czy nie osiem niedziel...

Taradajka się rozpłakała, wzięła kij i poszła wprost z odpustu pod ciupę. Musiała dać kilka szelągów, aby ją wpuścili do męża. Gdy spojrzeli na siebie, popłakali się oboje.

— A bodaj my ich byli nie widzieli! — począł dziad — bodaj by ja ich nie oglądał na oczy moje! Dyabelski to dar, ta i nieszczęście przyniósł z sobą... Byle mnie puścili, rzucę na dno do studni!

Poszła Taradajka za mężem prosić i jakoś go uwolnili.

W dobrej zgodzie powlekli go do domu.

— Co wy macie rzucać tyle złota do studni? —odezwała się baba — toć szkoda. Kupujmy, jedzmy i pijmy, co wlezie, to się ich pozbędziemy rychło — i tyle...

— Niech i tak będzie — odparł dziad. — Wprost tedy na ogród szli za chatę, gdzie pieniądze były zakopane. Dziad kroki wymierzył— miejsce znalazł i patrzy — dołek wykopany, a w dołku coś wcale do pieniędzy nie podobnego...

W ręce plasnęli oboje.

Pieniędzy nie było.

Wieczorem siedzieli oboje pochmurni. Nazajutrz mówiono, że Taradaj się obwiesił na gruszy, a żona znikła ze wsi bez wieści.

Pasimucha tylko opowiadał w gospodzie na jakie to sztuki dyabeł się bierze, gdy się na kogo zasadzi.

— Żeby był nie powiedział głupiego słowa w złą godzinę — mówił wzdychając — po dziś dzień by byli żyli i biedę klepali.

— Mój Pasimucho — odpowiadał na to zwykle Żubr, sąsiad jego — żeby głupiego człeka zgubić, na to dyabła nie trzeba, dosyć trochę pieniędzy...

WIKTOR GOMULICKI

CIEŃ.

(HISTORJA DUSZY DZIECIĘCEJ).

2)

III.

A jednak, ileż kształtów zamarłych, zniszczonych wskrzesić mi przyjdzie, aby dać tło obrazowi twemu! Z jakąś umyślną a okrutną zajadłością los twoje ślady na ziemi zacierał. Coś być w tobie musiało prawom ziemskim przeciwnego. I za to pewnie wycierpiałeś tyle niewysłowionych katuszy—choć i rozkoszy niewymownych kosztować ci dano.

Zgliszcza, popiół i ohydniejsze od nich nowe, jaskrawo błyszczące mury rozpościerają się tam, gdzieś żył, myślał, rozwijał się, kwitnął. Ogień pożarł, wiatr rozproszył, ludzie zburzyli, zdeptali, przetworzyli i przepotworzyli te domy, ulice, kościoły, drzewa nawet i altany, których byłeś jakby dzieckiem, bratem, i w których sam też rodzeństwo swe widziałeś.

A były wśród tych miejsc takie, których obraz łączy się u mnie zawsze z myślą o tobie. Tak już snać osądzono, aby wraz z tobą i otoczenie twe cieniem się stało. Uciążliwszą mam stąd pracę wskrzeszania. A i ból większy.

O! jeśli do życia zagrobowego wnosi się rzeczy ziemskich pamięć, to mnie przez wieczność dręczyć będzie jedno, z tą ruiną związane wspomnienie. I gdybym miał kiedy serce wrzątkiem radości kipiące, to zmrozi je w sekundzie tchnienie jednego wczesnego, zimowego poranku, który wśród tej ruiny przebłąkałem.

Cmentarz tchnie ogromem poezyi, która groby upiększa i grozę śmierci rozprasza. Ruina przez czas i kule wrogów zdziałana, posiada tragiczne i elegijne piękno. Ale gruzy miasta oszpecone pożarem, który niewiadomo skąd i niewiadomo po co, napadł je i strawił, to rzecz ohydna i przygnębiająca.

Świt rodził się stalowo-srebrny i ziemia w uściskach mrozu leżała półmartwa, gdym się tam znalazł przejazdem. Na poczcie przeprzęgano konie; mnie śpieszyło się... ale dałbym był pół życia, żebym mógł nigdy do celu nie dojechać. Do umierającej matki dążyłem.

Wskroś szarzyzny przedporannej, po śniegu, który wałami zasypywał drogę i pod stopą krzyczał, wgłąb miasta pobrnąłem. Ciekawość mnie ciągnęła: pogorzelisko, dość jeszcze świeże obejrzeć. Ty, cieniu, byłeś ze mną. Jak przewodnik pompejański wskazywałeś mi pewne miejsca, gruzami z pod śniegu wysterczające, mówiąc: — Tu było to... tu było tamto...

Wiedziałem o tem bez przypomnień.

— Tu, na szerokim ganku starej winiarni, pod wymalowanem u szczytu Okiem Opatrzności, siadywał w letnie wieczory gruby, sędziwy eks-klarynecista wojsk polskich, eks-fajfer z pod Lipska. Żartowano ze starca. Wmawiano weń, że niegdyś, przez zagranie fałszywego sygnału śmierć księcia Józefa spowodował. On w końcu temu uwierzył. I kajał się w żalu wielkim, usprawiedliwiał, w piersi się bił, załzawione oczy fularem żółtym ocierał. Dopiero świeża butelka godziła go z ludźmi i z sumieniem.

Tu w pokręconym, jak *bajgel* lub woskowa *hawdula* zaułku, bóżnica stała. Nie zliczyć, ile miała ganków zewnętrznych i wewnętrznych, ile schodów i schodków, ile drzwi i drzwiczek. Snycerskie przejrzyste jej zdobienia to wyskakiwały zawadyacko ku niebu, to się bezładnie tu i owdzie skupiły, niby gromadki żydków, omawiających z krzykiem ważny interes. A wszystko to drewniane, omszałe, roztrzęsione, w prawo i w lewo powyginane, cudem tylko jakimś kupy się trzymające. Gdy tu w wieczór świąteczny setki świateł rozbłysły, gdy wichrowa melodya jęków i łkań modlitewnych zawrzała, gdy snuć się zaczął tłum brodatych postaci w „śmiertelnych koszulach" z gorejącemi fosforycznie oczyma — dziw nad dziwy z bóżnicy się stawał.

Tu, przed niziuchnym, drewnianym, walącym się domkiem, od lat niepamiętnych wisiała niebieska, przez deszcze wypłukana tablica. Były na niej podobizny butów à la Wellington i damskich płytkich ciżemek z „bandażami". U dołu zaś nosiła napis: *Szewc Strzelecki świeżo przybyły z Warszawy.*

Tu, w maleńkim, do „stancyi" pani Porzyckiej przytykającym ogródku, hodowała dynie panna Weronika. Sama też do dyni podobna. Gdy dynie były jeszcze małe, żaki wydrapywali na nich ukradkiem napisy, które rosły razem z dyniami. Na jesieni, hodowczyni wyczytywała bardzo już duże i wyraźne pod swoim adresem madrygały: „W pierś mą Weronika grot miłosny wtyka", „Weronisia, daj pysia"...

Tu rozkładał się piękny, duży sad, rodzący najsmaczniejsze na całe miasto owoce. Ale właściciel umarł, spadkobiercy zajadle rozpoczęli procesy. Na opuszczone drzewa rzuciły się miryady liszek, liście i kwiat objadły, gałęzie gęstemi pajęczynami oprzędły. Sad miał

odtąd pozór cmentarza; drzewa w środku lata wyglądały, jak szronem pokryte.

Tu, w piętrowej, na kolor zgniło-zielony pomalowanej kamieniczce, rozegrał się głuchy, ponury, z wszelkiej poetyczności odarty dramat. Urzędnika nad stan żyjącego, za kradzież pieniędzy skarbowych do odpowiedzialności pociągnięto, Sybirem zagrożony, porżnął się cały brzytwą, z upływu krwi życie zakończył.

Tu, z otwartego okna narożnego domku wychylał się często wielki pożerca serc, malarz i nauczyciel rysunku. Wychylał się bez surduta, ale z chustką na szyi jaskrawą, wielkiemi „fontaziami" wiewającą, z włosami ufryzowanemi w trzy wysoko piętrzące się rury, z gitarą w ręce hiszpańską. W drugiem oknie migała chwilami blada, smutna twarz jego żony (już trzeciej), zapracowanej, zahukanej, łzy ukradkiem ocierającej, suchotnicy...

Tu była „pensya panien", jaskółczym świegotem po całym rynku rozbrzmiewająca...

Tu stara Judkowa piekła obwarzanki „jajeczne" i placuszki cynamonem posypane, — Lukullusów dziesięcioletnich przysmaki...

Tu otruł się lekarz, człek ponury, z twarzą po same oczy zarośniętą. Jego dwie młode, piękne, posażne żony umarły wcześniej śmiercią zagadkową, w rok jedna po drugiej. On za ich pieniądze otworzył wielkie, fabryczno-przemysłowe przedsiębiorstwo, które nie poszło. Wówczas budynki zostały na wysoką sumę ubezpieczone i pewnej nocy spłonęły. Potem było śledztwo, proces brzydki... I spora doza arszeniku (cyanek potasu nie był jeszcze modny) uczyniła na zawsze nierozwikłanemi trzy zagadki ponurego doktora...

Tu, starozakonna Gitla, od ulicy waciarka, od tyłu fanciarka, sprzedawała uczniom na kieliszki „pod wielgim sekretem" likier różany, fabrykowany z melasy i soku buraczanego robiony.

Tu w ciche ciepłe noce, śpiewywała przy otwartych oknach, uwodząc prześlicznym głosem wszystkich, którzy jej nie znali, młoda panna—garbata...

Tu najweselej bawiono się w zapusty...

Tu sędziwa, nigdy żałoby nie zdejmująca matka opłakiwała przez całe lata synów trzech. W krótkich kożuszkach w czerwonych z białym barankiem czapkach „do lasu" wyszli — w bezimiennych mogiłach strawą kruków się stali.

Tu królowała blada czarodziejka z czarnemi oczami, która...

Och! dość już, dość!

To wszystko było—i tego wszystkiego już *nie było*. Te obrazy tak żywe, tak plastyczne, rozwiały się, zapadły pod ziemię, zamarły. Przedemną rozpościerało się głuche, od mrozu skostniałe cmentarzysko. Między stertami okopconych cegieł, snuło się kilka postaci w łachmanach—nędzarzy bezdomnych czy upiorów? W nawpół zapadłej piwnicy psisko niewidzialne wyło....

Szarzyzna wyjaśniać się zaczynała. Śnieg z niebieskiego stawał się przeraźliwie, bezczelnie, krzycząco biały. Całunem nakrywał wspomnień moich groby; biel nieskalaną a lodowatą z uraganiem kładł na nie.

Zazdrościłem tobie—bowiem ty już umarłeś... Cieniem byłeś, a cienie czyż cierpią? I ogarnęła mnie ogromna nostalgia śmierci. Zapragnąłem tobą się stać, zespolić się z olbrzymim tłumem cieniów, które z rumowiska wstawały i do mnie szły.

Groby miałem dokoła—do matki umierającej jechałem. Niechbym już zzuł formę ziemską, tak bardzo mi ciążącą. Bo i pocóż mam żyć jeszcze? starzec mogiłę własnego życia depcący!

Wypełniły się dni moje. Życia wschód i zachód widziałem. Całowieczna sędziwość ducha mego przygniotła. Dano mi oglądać wszystko—to nawet, co po zgonie moim będzie. Przeciekł już piasek w klepsydrze mego istnienia. Umęczony, wytlały, niemocny... cóż jeśli nie grób właściwem dla mnie mieszkaniem?

Miałem lat dwadzieścia dwa...

(D. c. n.).

□□□□□□□□□□

NAD MROCZNYM LASEM...

Nad mrocznym lasem, przed nocą,
Na przedzimowych snów straży,
Złowieszczo wrony łopocą,
Żałobna chmura się waży...

Czasem upadnie liść suchy,
W gęstwinie kierz zaszeleści,
Jakby schodziły się duchy,
Tajemnic szepcąc powieści...

Potwornych cieniów gromada,
To wzdłuż się ściele, wzwyż rośnie,
Jałowce, dęby obsiada,
Na każdej buja się sośnie...

Błędnych ogników się czepia,
Gdy mignie bladość ich trupia,
To nieruchome swe ślepia
Z poza pni czarnych wyłupia...

Zaziera wgłąb twego ducha,
Skroś pierś twą młodą przewierca,
I, zaczaiwszy się, słucha
Uderzeń twojego serca...

Czasem coś w mrokach zarzęzi
Na liści posłaniu miękkiem—
To chrzęst pod stopą gałęzi
Całunnym ozwie się jękiem...

I nagle, jakby nad głową,
Straszna się burza rozwściekła,
Z złowrogą groźbą wichrową,
Z przekleństwy nocy i piekła.

Drzew czarne szumią korony,
Roją się widma ponure —
To wroni obóz spłoszony
Z krakaniem zerwał się w górę..

I drżącą postać twą zlewa
Wilgotnej rosy toń mgława,
Lecących igieł ulewa,
Zwiędniętych liści kurzawa...

. . . . . .

Odwieczny ducha pielgrzymie
Po wspomnień zamierzchłym lesie,
Kędy sny drzemią olbrzymie,
I przeszłość bluszczem w krąg pnie się.

Ostrożnie głuchą krocz drogą,
Gdzie śmierci lęgną się czerwie,
Bo, jeśli trącisz w grób nogą —
To wicher wspomnień się zerwie.

Po licach łzy się poleją,
Od mroków oślepną oczy—
I orkan wspomnień—zawieją,
Zasypie cię i przytłoczy...

Wiktor Dzierżanowski.

□□□□□□□□□□

Dank Napoleona.

— ...pas gai dans ce pays ci — mruknął basowo generał Gourgaud, tłumiąc ziewanie i klątwę żołnierską.

Przystanął nad krawędzią skalistego urwiska, spadającego niemal prostopadle na gliniaste osypiska, rozstawił nogi, wsparł się rękoma na biodrach i, jakby z punktu obserwacyjnego na pole rozgrywającej się bitwy, zapatrzył się z płaskowzgórza wyspy św. Heleny na spienione wody przystani. Zapominając o towarzyszu przechadzki, spoczął wzrokiem na chyżym, potężnym żaglowcu, na którego pokładzie wrzał ruch, znamionujący blizką godzinę podniesienia kotwicy, i westchnął, ulatując myślami z dusznego koła nudów, waśni i intryg do dalekiej a tem piękniejszej Francyi, skąd wywabiły go nie wiadomo co w większej mierze: długi czy przywiązanie do wielkiego wodza i boga wojny.

A marszałek Bertrand z skrzyżowanemi po napoleońsku na piersiach ramionami stał opodal niemy, przygnębiony. Jakby dźwigając coś z ciężaru nieszczęścia swego umiłowanego pana zapadał się nieraz w pieczarę melancholii.

I on wodził przymglonem okiem po podzwrotnikowych wodach Atlantyku; lustrował krytycznie rozkołysaną flotylę angielską: trzy wielkie fregaty, kilka łodzi mosiężnych i dwumasztowców zbrojnych, broniących przystępu do wyspy — do „generała Bonapartego".

Nie śledził życia na statku pasażerskim, nie odrywał się sercem od boku „jeńca Europy". Nieraz wprawdzie namawiała go żona do wyjazdu, odkąd w faworach u cesarza ubiegła ją muzykalna, subtelna pani de Montholon, jednakże najwierniejszy sługa Napoleona głuchy był na wszystko. Raz na zawsze oddał mu duszę i ciało, legł u stóp lwa pokonanego, nie pojmując istnienia zdala od wodza, którego myśli stawały się jego myślami i życzenia jego życzeniami.

Dzień był wietrzny. Wicher huczał, harował po wodach, padał w ciemne, cudowne ich szafiry i piętrzył je w góry wspaniałe, opadające miękko na wzór płaszczów królewskich lamowanych gronostajami. W farysowskiej gonitwie targał mimochodem ogromne żagle okrętu, walił w dumną pierś wysepki, chcąc porwać ją z sobą w zawody na przestwory Atlantyku, i w sierpniowy skwar tropikalny wnosił miłe, rzeźkie wyziewy oceanu.

— Jutro, pojutrze, zawinie „Conqueror"— mówił z przekąsem Gourgaud — i przywiezie nam łaskawie owej znakomitej żywności, jakiej na przylądku „Dobrej Nadziei" nikt w usta brać nie chce.

— Ale przywiezie także listy — zauważył Bertrand.

— Tak! Listy!... To jest słowa, na domiar słowa przeznaczone w pierwszym rzędzie dla oczu naszego opiekuna i władcy. Gdyby przywiózł nam czyny, chociaż wieść o czynach... chociaż zwodnicze ich przeczucie...

— Marzenia... — szepnął smętnie Bertrand.

— Zostaw nam trochę okruchów marzeń!

— Niestety, rozwiewa je widok tej flotylli, najeżonej armatami, tych straży, kordonów wojska, parków artyleryi! Zaiste, możnaby myśleć, że za chwilę spadnie na te zwały skał niedosiężnych jaka armia, by wybawić cesarza z niewoli!... Jużto gubernator przesala w swej gorliwości, jak we wszystkiem! Satrapa! Nie mógł nawet oszczędzić cesarzowi nienawistnego widoku owego grenadyera, on tam sterczy na skale w obliczu pawilonu!

Snadź chodzi o to, by świecił cesarzowi w oczy swą obecnością, budził wizye... Waterloo...

Czarna chmura osiadła na brwiach marszałka.

— I wobec tego dziwią się anglicy, że cesarz nie wychodzi z pokoju. A jakżeż może być inaczej, jeśli na każdym kroku urąga mu wszystko krzykiem puhacza: jesteś jeńcem, jeńcem!...

Gourgaud pokiwał głową.

— Gdyby nam „Conqueror" przywiózł nowego gubernatora...

— I to marzenie. Hudson Low mocno siedzi w siodle, cieszy się względami lorda Bathursta, acz dalibóg nieprawdopodobnem się wydaje, by minister pochwalał nieczyste jego rozporządzenia prewencyjne, owe zmiany, poprawki ukazów, jego ciasnogłową pedanteryę i skąpstwo. Trudno pojąć, by uznawał chama dozorcą cesarskiego więźnia.

— A tak łatwo byłoby go zastąpić admirałem Malcolm'em, gdyby niebył miłym cesarzowi — rzekł Gourgaud i zagadnął żywo: Ale cóż to strzeliło gubernatorowi do głowy, że wydala z wyspy kapitana Piątkowskiego?

— Nie wiem — bąknął obojętnie marszałek.

— Coś po za tem ukrywać się musi. Nie rozumiem. Żal mi tego młodego człowieka. Skromny, cichy.

Głos życzliwości ozwał się w piersi generała, chociaż na młodego oficera, trzymającego się na uboczu, spozierano z góry w świcie Napoleona.

— Ot, nadchodzi Montholon! Może on rozjaśni nam ten nowy gubernatora wybryk.

Na szmacie murawy, przez żary afrykańskie wypalonej, zajaśniała wysoka figura generała de Motholon w płóciennem odzieniu, zmierzającego ku towarzyszom dobrowolnego wygnania.

Odgadując, co dnia tego najwięcej zaprząta umysły członków świty cesarskiej, zanim jeszcze przystąpił do nich, począł żywo:

— Spotkałem hrabiego Balmain'a. Komisarz rosyjski, żyjący z gubernatorem na stopie intymnej i ubiegający się o rękę jego pasierbicy, miewa informacye z dwóch najlepszych źródeł. Dowiedział się on w Plantation House, że Piątkowski usiłował różnemi nadzwyczajnemi przyrzeczeniami skaptować dla cesarza oficerów załogi angielskiej, że pisywał do nich awanturnicze listy...

— Plotka! — wpadł Gourgaud — któż byłby tak naiwnym, by w takie bawić się gry?!

— Kto wie?... Bezczynność bywa złym doradcą—zauważył Bertrand.

— Ja tego nie przypuszczam. Nie ma w tem słowa prawdy. Balmain nie daje również temu wiary. Zagadnął on samego gubernatora w tej sprawie.

— A Hudson Low cóż na to?

— Zapewnił go, iż nie miał najmniejszej przyczyny skarżyć się na kapitana, lecz odsyła go poprostu ze względów oszczędnościowych. Wraz z nim wyjeżdża czterech ludzi z służby.

— Pytanie czy te „względy oszczędnościowe" nie są jedynie wybiegiem z jego strony — podejrzewał marszałek. — Ciekawym, co powie nam Piątkowski. Od pewnego czasu, jakby ukrywał się. Chodźmy! Spotkamy go może w pobliżu stajen.

Minęli nagi pagórek, zamykający widok na wnętrze wyspy, i ukazał się przed nimi jasną plamą pawilon Longswood, ani obszerny, ani zbytkowny, lecz dość wygodny, wyposażony w piękne meble mahoniowe i z boku umajony w zieleń egzotycznych roślin. Skromna, cicha siedziba ekscesarza. Przywarła do ziemi zgnębiona, wrastała w nią, kryła się wstydliwie.

W głębi widniały podobne w charakterze domostwa zajęte przez świtę Napoleona, tudzież stajnie, nad któremi dozorował polski kapitan ułanów. Wszelako urząd koniuszego, jaki niby to piastował, był zgoła iluzorycznym, gdyż krótko po swym przyjeździe Napoleon zaniechał konnej jazdy i wbrew zaleceniom lekarza nigdy nie wyjeżdżał powozem. Zresztą nikt z świty nie miał nic do roboty, ani Gourgaud, coś jakby szambelan wysiadujący w przedsionku willi, ani de Montholon grający z godnością rolę ministra spraw wewnętrznych. Jedynie chyba hr. Bertrand w charakterze sekretarza spraw wewnętrznych prowadził okolicznościowo ożywioną a ciętą korespondencyę z znienawidzonym gubernatorem wyspy.

Generałowie rozsiedli się pod wachlarzami wybujałych palm przed willą Bertrandów, gdzie, jak się okazało, kapitan zapowiedział swoją wizytę, i poczęli rozwałkowywać, przeżuwać, przewracać na nice błahe sprawy miejscowe, nurzać się w pustce swego bytowania, wyjaławiającej umysły — pustce podszytej małostkowemi ambicyjkami i zazdrościami.

Aż stanął przed nimi wygalowany ułan polski, z oznakami adjutanta ordynansowego, z wstążeczką i orderem legii honorowej na piersi.

— Moi generałowie — ozwał się drżącym z lekka głosem, prężąc się i przyciskając szablę do boku.—Muszę się pożegnać...

Salutował.

Generałowie zawahali się, marszałek pierwszy wyciągnął do niego rękę i chciał coś rzec, gdy ciekawy de Montholon wybuchł:

— Cóż u dyabła stało się powodem wydalenia pańskiego z wyspy?

Na to łza zakręciła się w niebieskich oczach ułana. Wargi drgnęły, lecz nie padło z nich ani słowo. Dotknięte w bolączkę serce zajęczało w piersi żałośnie i długa upłynęła chwila, nim opanowany wzruszeniem żołnierz wykrztusił z rozpaczliwym gestem:

— Zdaje się, że nie ma funduszów na strawę dla mnie... Może kiedy w gawędzie z oficerami załogi wyraziłem się o gubernatorze nieprzychylnie...

(D. n.). *Maciej Wierzbiński.*

□□□□□□□□□□

Pisma Bronisława Chlebowskiego.

I.

Mało znaliśmy dotąd Bronisława Chlebowskiego, jako krytyka i historyka literatury, znacznie mniej, niż na to zasługiwał. Cichy, skromny pracownik, nie narzucający się ze swemi opiniami nawykłemu do rozgłośnych fanfar blagi i reklamy ogółowi, zawsze pozostawał w ukryciu, choć trudy jego niepłonne były, czego nie ostatnim dowodem pomnikowe wydawnictwo „Słownika geograficznego", dzieło, przezeń w znacznej mierze wykonane, dzieło, na które w innych, przyjaźniejszych, niż nasze, warunkach złożyć by się musiała wspólna praca całego grona uczonych.

I otóż teraz, po latach przeszło 40-tu, postanowił Chlebowski, ku prawdziwemu pożytkowi nauki i sprawy polskiej, zebrać w jedno rozproszone po czasopismach, książkach zbiorowych i t. p. wydawnictwach swe prace historyczno-literackie, w tej niewątpliwie myśli, która zawsze trudom jego przyświecała, by torowały „dziełom sztuki drogę do dusz ludzkich przez objaśnienie ich treści i uwydatnienie zalet formy".

Leżą przed nami dwa tomy „Pism" Chlebowskiego (z zamierzonych pięciu), zawierające długi szereg cennych studyów i przyczynków do dziejów kultury i piśmiennictwa polskiego od najdawniejszych czasów aż do Wyspiańskiego, w znacznej mierze poświęconych dwu naczelnym postaciom wieku Odrodzenia: Rejowi i Kochanowskiemu. Trzeci, wedle zamieszczonej w przedmowie zapowiedzi, ma zawrzeć studya nad literaturą XVII stulecia, ulubiony niegdyś teren badań Chlebowskiego. (Piotr Kochanowski, Twardowski, Potocki, Pasek, Maszkiewicz i inni), czwarty wypełnią prace nad przeszłością Warszawy i jej życiem duchowem, piąty zamknie w sobie studya krytyczne, odnoszące się przeważnie do wielkich pisarzów wieku XIX.

Nie czekając atoli ukończenia publikacyi, i dziś już, na podstawie pierwszych dwu tomów, znając zresztą skądinąd dorobek naukowy Chlebowskiego, mający wypełnić trzy pozostałe tomy „Pism", możemy scharakteryzować dokładnie postać krytyka-obywatela.

W wydanych w roku 1902 „Dziejach krytyki literackiej w Polsce" temi słowy określa Chmielowski rodzaj i kierunek pracy naukowej Chlebowskiego.

„Zaznajomiwszy się z teoryą i metodą Hipolita Taine'a (w r. 1872), lubo nie przyjął jej w całości i bezwzględnie, wiele jednakże z niej skorzystał w rozpatrywaniu zarówno warunków terytoryalnych i etnicznych, jak i atmosfery duchowej, wśród której działalność tego

lub owego pisarza się rozwijała. Podniosły, szlachetny idealizm w poglądach na zadania życia, łączy się w spokojnym, rozważnym, lecz bardzo skłonnym do ryzykownych hypotez umyśle jego z trzeźwem pojmowaniem stosunków bytu rzeczywistego i wpływów, jakie strona materyalna na duchową wywiera. Stąd w pracach jego, dotyczących literatury, nie kwestya piękności artystycznej utworów stawiana bywa na pierwszym planie, lecz zbadanie zagadnienia, jak życie realne odbijało się w pomysłach twórców, w ich poglądach etycznych, politycznych i t. d. Wpływ warunków geograficznych i usposobień plemiennych starannie bywa przezeń roztrząsany i wykazywany. Niemniej obchodzą go źródła natchnień poetyckich, i poszukiwaniu ich niestrudzenie się oddaje" (str. 404).

Sąd ten, najlepszy i bodaj jedyny, jaki wydała o Chlebowskim nasza literatura historyczno-literacka, dziś, po dziesięciu latach wymaga pewnej korektury i uzupełnienia, chociażby dlatego, że właśnie w tych ostatnich dziesięciu latach talent krytyczny Chlebowskiego niepoślednie święcił tryumfy i wszedł na nowe tory.

Przedewszystkiem pozostał nie zbadany stosunek Chlebowskiego do Taine'a, mistrza i przewodnika w zawodzie krytycznym. Bliższe wyjaśnienie tej sprawy przekroczyłoby znacznie z konieczności szczupłe ramy niniejszego artykułu. Ale, nie wnikając w szczegóły, wolno nam ogólnikowo zaznaczyć, że, idąc za autorem „Historyi literatury angielskiej" w wyborze środków metodycznych, Chlebowski nigdy nie godził się na jego wnioski ostateczne.

"Rozumiejąc doskonale, że trzy sformułowane przez Taine'a czynniki: *rasa, otoczenie, moment dziejowy*, słowem, wpływy *zewnętrzne*, kładą swe wyraźne piętno na twórczości poszczególnych autorów, stosując tę metodę z wybornym skutkiem do pisarzów polskich tak różnych epok, jak Rej, Kochanowski, Pasek, Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Wyspiański, nigdy nie dochodził nasz krytyk do determinizmu, nigdy się nie pisał na takie np. twierdzenie Taine'a: „W literaturze jak i wszędzie, mamy do czynienia z zagadnieniem mechanicznem: rezultat ogólny jest zależny w zupełności od wielkości i kierunku sił, które się nań składają".

Chlebowski daleki jest od naturalizmu: dla niego objawy życia duchowego nie są, jak dla Taine'a, tylko ruchem cząsteczek w ośrodkach nerwowych; nie nazwałby nigdy, jak autor traktatu o Liwiuszu, człowieka, „gorylem dzikim i lubieżnym"; a cokolwiek moglibyśmy powiedzieć o wpływie warunków zewnętrznych na twórczość literacką, zawsze staniemy przed zapartemi podwojami ducha poety, za któremi dopełnia się wielki akt wcielania pomysłu artystycznego w kształty widome. Jest to bowiem jedna z tych „prawd żywych", niedostępnych „szkiełku i oku" mędrców.

Oczywiście, „szkiełko i oko" nic tu nie pomogą. Żadna, najdowcipniejsza analiza, chemiczna czy anatomiczna, nie wykryje nam składu, czy układu dzieła sztuki, jeśli usuniemy z pod badania czynnik najważniejszy, *wewnętrzne* „ja" artysty, jego indywidualność, geniusz, czy nawet talent, działający niezależnie od wszelkich oddziaływań zewnętrznych, często poza świadomością samego twórcy. Dlaczego np. Dante, Szekspir, Goethe, Mickiewicz urodzili się geniuszami, a nie zwykłymi „zjadaczami chleba", jak tysiące współczesnych im rodaków, tej zagadki Taine, stojąc na gruncie swej doktryny, nie rozwiąże.

Historya literatury nie jest więc ani mechaniką, ani anatomią, ani chemią — i na tym właśnie gruncie stanął Chlebowski, chociaż Taine'owi w rozwoju swym duchowym wiele zawdzięczał.

Dowodzi tego znakomita rozprawa p. t. „Zadanie historyi literatury polskiej", gdzie tak świetnie przeprowadził linię rozwoju kultury i ducha polskiego poprzez różne, wchodzące kolejno w krąg wspólnoty duchowej dzielnice dawnej Rzeczypospolitej: od Małopolski na Wielkopolskę, a potem poprzez Mazowsze na Litwę i Ruś; jest to praca, której nie może nie znać żaden krytyk ni historyk literatury.

Dowodzą tego liczne studya: o Reju, o Kochanowskim, o Mickiewiczu, o Krasińskim, w których odszukuje i podkreśla oddziaływanie warunków życia na twórczość literacką. „Choć z czasem pozrywają się wszystkie nici, jakie łączyły poetę ze społeczeństwem, a utwory jego z życiem — pisze w cennem studyum p. t. „Jan Kochanowski w świetle własnych utworów" — jednak duch, nieodstępny strażnik wielkich pomników, tak oświetli, ogrzeje, ożywi ciemne i milczące obrazy zmarłej przeszłości, że bez trudu i wstrętu zespolimy się z jej postaciami, poznamy ich przekonania i podzielimy ich uczucia. Chcąc zrozumieć tego ducha, musimy się zapoznać z *warunkami otoczenia, wśród jakiego się rozwijał, i z naturą wpływów, które odbierał*" (II, 139).

Chlebowski, jak prawy uczeń Taine'a, rozumie doskonale, że poeta nie może wyodrębnić się z pośród swego społeczeństwa. On gotów przyjąć w zasadzie pierwszą część twierdzenia Spinozy: „Człowiek w naturze nie jest państwem w państwie, ale częścią w całości", chociaż odrzuciłby ze stanowczością koniec tego zdania: „i ruchy mechanizmu duchowego, który jest naszą istotą, są tak samo określone, jak ruchy świata materyalnego, w którym mechanizm ten jest zawarty".

Tak jest, człowiek-twórca jest „częścią w całości"; wypływają stąd dwie ważne zasady: możność odczytywania dziejów ducha poety w jego dziełach (krytyka psychologiczna), oraz potrzeba wykrycia związku twórczości poetów z ogólnym rozwojem duchowym narodu i ludzkości (krytyka społeczno-narodowa).

Te dwie strony działalności naukowej Cahlebowskiego będą przedmiotem następnego rozważania. *Henryk Galle.*

□□□□□□□□□□

Z żałobnej karty.

Ś. p. Marya Bukowińska.

Z serdecznym żalem żegnaliśmy w dn. 2 b. m. żonę poety i literata Władysława Bukowińskiego, współredaktorkę „Sfinksa", Maryę Bukowińską. Odeszła w pełni sił, bo przeżywszy zaledwie lat 38, od pracy, którą dzielnie i gorliwie dzieliła z mężem, szanowana i kochana przez tych, którzy ją znali i cenili w niej zacną, wybitnie inteligentną obywatelkę kraju.

Zmarła była córką artysty-malarza, ucznia i przyjaciela Gersona, nieżyjącego już Hipolita Pinko i ś. p. Jadwigi z Szymańskich. Ukończywszy z odznaczeniem gimnazyum w Radomiu, brała żywy udział w dzia-

łalności kółka młodzieży, którego duszą był nieżyjący już również, późniejszy wybitny ekonomista i socyolog, Kazimierz Kranz. Wkrótce potem wyjechała na studya przyrodnicze najpierw do Krakowa, a potem do Genewy.

Poślubiwszy poetę i krytyka, Władysława Bukowińskiego, była nie tylko towarzyszką jego życia, ale i współpracowniczką najbliższą. Przez pewien czas prowadziła samodzielnie przegląd prasy rosyjskiej w „Gazecie Handlowej". pisywała nadto artykuły do „Bluszczu", „Tygodnika Illustrowanego" i „Prawdy".

Oprócz oddania się całą duszą współpracy z mężem, Marya Bukowińska założyła przy „Sfinksie" Bibliotekę i tę redagowała z umiłowaniem wielkiem.

Przetłomaczyła na język polski dwutomowe dzieło Rogera Peyre'a p. t. „Napoleon i jego epoka", oraz historyę wieków średnich i historyę nowożytną prof. Karejewa.

Zdrowie jej od lat kilku trawiło nerkowe cierpienie, kilkakrotnie wyjeżdżała do Helouanu w Egipcie i do Włoch, zdawało się, że w tym roku właśnie było pokrzepione i trwalsze. Nagły atak uremiczny przeciął jej życie.

Osierociła dwóch synów.

Szanownemu koledze, Władysławowi Bukowińskiemu, wyrażamy szczere słowa głębokiego współczucia. *R.*

□□□□□□□□□□

Z listów do „Bluszczu".

Lozanna.

Czy ze szczytów Alp lub Tatr wracasz, Czytelniczko, czy z mórz przezroczy, lub z rozkosznego ustronia polskiej wsi—w każdym razie w chwili tej czeka na ciebie nowy rok życia, nowy rok pracy.

Zasobna w pewien zapas energii zdobytej w obcowaniu z szeroką naturą, z wypoczętemi siłami i nerwami wstępujesz w dom Twój na dalsze życie. I choć nie bez żalu zapewne za błękitami, które za sobą zostawiasz, rysujesz już w swej główce całokształt nowej pracy, zajęć obowiązków i przyjemności. Pragniesz ułożyć wszystko jaknajlepiej, jaknajwygodniej, jaknajprzyjemniej dla siebie i swoich. W myślach jesteś już na drodze praktycznych zmian i ulepszeń, które chcesz w domu Twym zapro-

wadzić. Posłuchaj więc, co w tym kierunku zrobiła starsza siostra Twa, helwetka z nad brzegów Lemanu i weź z tego na własny użytek to, co wyda Ci się dobrem, a dotychczas w stosunkach Twoich nieznanem.

Dzień w Szwajcaryi zaczyna się bardzo wcześnie, zwykle o godzinie 6-ej rano w lecie, o 7-mej w zimie. Jest to koniecznem w większości rodzin wobec rozpoczynania się lekcyi w szkołach o godz. 7-ej i 8-ej. Tych samych mniej więcej godzin trzymają się sklepy, magazyny i biura. To też Szwajcarzy mają przed południem czas na zjedzenie trzech śniadań: o godz: 7-ej, 10 i 12 i pół—gdy u nas młodzież szkolna i urzędnicy nierzadko są prawie naczczo do obiadu, t. j. do godziny 3-ej lub 4-ej po południu.

Nie jestem ani fizyologiem, ani psychologiem, ale przypuszczam, że fakt ten w znacznym stopniu wpływa na odmienne ukształtowanie się charakteru, a co zatem idzie i biegu spraw codziennych w życiu polaka i w życiu szwajcara.

Niewzruszonym panem dnia jest tutaj zegar. Szwajcar ma bardzo ściśle wyznaczone godziny pracy, posiłków, spacerów i przyjemności To też podobne tu są do siebie nietylko dnie następujące jedne po drugich, ale także jednakowym jest jeden i tem sam dzień we wszystkich godzinach. Cała Szwajcarya pracuje od 7 rano do 12-ej w południe; O 12-ej je obiad, czy śniadanie, dlatego w tym czasie ruch na ulicach prawie zupełnie ustaje, a wiele sklepów jest zamkniętych. Od godziny 2-ej do 4-ej lub do szóstej jest znowu praca w biurach i szkołach o 7-ej wszędzie jedzą obiad lub kolacyę.

Nie potrzeba dowodzić, że takie ujednostajnienie życia jest nadzwyczajną oszczędnością czasu dla wszystkich. Ludzie nie przerywają tu sobie wzajemnie ani pracy, ani obiadu; interesy i wizyty odbywają się w przeznaczonych na to godzinach.

Popołudniowa herbata, z Anglii przywieziony „After noon tea" między 4-ą a 6-ą po południu, jest tu w rodzinach i w hotelach chwilą najbardziej lubianych przyjęć. Poza oficyalnemi, proszonemi obiadami odwiedzają się także Szwajcarzy po obiedzie między 9-ą a 10-ą wieczór i znowu piją herbatę.

Ten wschodni napój, rozpowszechniony od niedawna w całej Europie, stał się tak jak kwiaty nieodłącznym towarzyszem nowoczesnego człowieka w doli jego i niedoli. Do Szwajcaryi przyszła herbata nie bezpośrednio ze wschodu, a z zachodu, z Anglii; nie wystąpiła w całym majestacie rosyjskiego samowaru, który tu można widzieć tylko w magazynach starożytności—natomiast ukazała się na zgrabnych, misternie zbudowanych stolikach ze szkła i metalu, w metalowych angielskich maszynkach, lub w chińskich, bajecznie kolorowych imbrykach i imbryczkach. Dla mnie herbata w takiej formie podana ma swój wdzięk specyalny, jeśli tak można powiedzieć, a przygotowana podług gustu gościa rączkami zgrabnej, uprzejmej gospodyni ma ogromną wyższość nad przynoszoną przez służbę gotową filiżankę herbaty.

Ale powracam do Szwajcarów. O godzinie 11-ej śpią już oni prawie wszyscy, z wyjątkiem niewielu, bawiących się w licznych tutaj koach ètrangerów, którzy coraz mocniej wyciskają swoje jaskrawe piętno na tutejszem spokojnem życiu. Niezadowoleni są podobno z tego Szwajcarzy. Narzekają zwłaszcza na południowo-amerykańskich rastaquonère'ów, którzy istotnie powodzią całą zalewają francuską Szwajcaryę. Razem z brazylijskiem złotem i srebrem, przywożą oni swoją młodą, ekspansywną i żądną zbytku naturę, która w utartych, równych, ale może wązkich kolejach szwajcarskiego życia pomieścić się nie może.

Stąd konflikt.

Szwajcarzy, chowają starannie w hotelowych kasach argentyńskie srebro i brazylijskie złoto, rozprawiają dużo w radach kantonalnych o amerykańskim, demoralizującym wpływie i projektują bez końca zamknięcie sal gry w kasynach Genewy, Montreux i t. d.

Szwajcarki, zachwiane w wierze o bezwzględnej prawdzie czysto umytej podłogi i o szczerozłotym blasku świeżo wyczyszczonej klamki, spoglądają z ukosa i z ukrywanem starannie nawet przed własną duszą błyskiem pożądliwości na amerykańskie, niedojrzałe, więc kwaśne winogrona.

Tak, katechizmem życia kobiety szwajcarskiej ze wszystkich sfer jest staranie o ład, o porządek, o czystość, względnie o estetykę w domu. Zamożność i wykształcenie nie powstrzymują jej bynajmniej od codziennego, czynnego udziału w sprzątaniu pokoi, w gotowaniu obiadu, w praniu i reperacyi bielizny i t. d. Co prawda, wszystkie te czynności, związane z gospodarstwem domowem, odbywają się tu w sposób o wiele mniej przykry niż u nas.

Przyczynia się do tego już przedewszystkiem znacznie większy komfort nawet w skromnych mieszkaniach. W każdem jest łazienka z zimną i gorącą wodą i duszem, w każdem elektryczność i kuchnia gazowa, często centralne ogrzewanie, ogromne szafy spiżarniane z wentylacyą, różne, doskonale umieszczone zachowanka na węgiel, drzewo i t. d. Są też zwykle w mieszkaniach, jakgdyby tuby do wyrzucania śmieci wprost do zbiornika, z którego co rano wywożone zostają. Są u stróża telefony dla lokatorów za niewielką opłatą, jest w każdym domu do kolejnego użytku lokatorów pralnia z doskonale urządzonym kotłem i innemi przyrządami do prania.

O stosunkowo niskiej cenie takich mieszkań tutaj pisać nie będę, bo trafiłabym, zdaje się w największą, a na razie przynajmniej nieuleczalną bolączkę Warszawy.

Do tych wygód mieszkaniowych dodać należy doskonale zorganizowaną dostawę produktów spożywczych do domów. Przynoszą tu codziennie mięso, jarzyny, nabiał, chleb i towary kolonialne. Zamówienia o ile nie są stałe, robią się przez telefon, lub pocztą. W poniedziałki zwykle zjawiają się rzemieślnicy, którzy zabierają zepsute rzeczy do reperacyi, przychodzi szewc po obuwie, praczka po bieliznę do prania, aby w kilka dni odnieść wszystko zreperowane i wyprane. Rachunki przeważnie płaci się miesięcznie.

W ten sposób służąca i pani domu nie potrzebują wychodzić co rano, w chwilach największej pracy domowej do, tak zwanego, miasta po sprawunki. Niema też tych nieskończonych co wieczór rachunków z zaspaną kucharką, przy których zwykle jest kilka kopiejek za dużo, lub kilkadziesiąt za mało.

Jedynie tylko w dnie targowe, raz, lub dwa razy na tydzień wychodzą gospodynie po zakupy, które na targu są może trochę tańsze niż w sklepach. Wyprawy te należą potrosze do przyjemności życia szwajcarek, ale też targi tutaj nie budzą takiego uczucia wstrętu, jak nasze brudne targowiska z klasycznemi swojemi przedstawicielkami w osobach odpychająco aroganckich przekupek. Tutaj — bogactwo jarzyn, owoców i kwiatów ma jakąś poezyę martwej natury, z której przychodzą czerpać nawet strojne i śmiejące się do życia amerykanki. Zresztą miasto całe się ożywia i bierze udział w tych mrówczych zabiegach około ściągnięcia do domowych śpiżarni zapasów żywności, nawet tramwaje mają przyczepione jakgdyby klatki ogromne, w których wracające do domu gospodynie składają swe pełne kosze, zwykle ozdobione kwiatami.

To jest jeden z licznych objawów ogólnego zainteresowania się tutaj sprawami gospodarstwa i jakgdyby szacunku dla pracy kobiety około ogniska domowego. Może dzięki temu uznaniu właśnie szwajcarka zdobyła przeświadczenie o ważności swego domowego działania i dlatego z taką łatwością oddaje się pracy, któraby u nas uważana była za zbyt przykrą i nieodpowiednią dla kobiety z pewnem wykształceniem i w pewnem środowisku społecznem.

Tutaj panna dorosła nieraz łatwiej decyduje się przyjść rodzinie z pomocą przez zastąpienie służącej w domowej pracy, niż bieganiem za lekcyami.

Nie przeszkadza jej to jednak przeczytać gazetę i nową książkę, wysłuchać odczytu, i należeć czynnie do społecznych czy filantropijnych instytucyi—uważa to bowiem za taki sam swój obowiązek w godzinach popołudniowych jak sprzątnięcie pokoi i ugotowanie obiadu rano.

Czy w tych warunkach, czerpiąc u ognisk intellektualnych, odbiera ona całe ich potężne światło i ciepło? czy promienie entuzyazmu przenikają jej duszę? czy doznaje takich rozlicznych i subtelnych wrażeń duchowych, jak Ty o delikatnych rączkach Czytelniczko? Nie wiem.

Przypuszczam, że innym jest cały jej ustrój, innym materyał ludzki, z którego zbudowana.

Jeśli Ty jesteś barwą, wonią i dźwiękiem, to ona jest kształtem i czynem.

Weź od niej czyn, ale zachowaj barwę swoją Czytelniczko!

M. W.

□□□□□□□□□□

Z TEATRU.

Teatr Rozmaitości. „Sąd"—dramat 3 aktowy Czesławy Haliczowej (Rosenblatowej). „Sąsiad"—epizod dramatyczny Bolesława Gorczyńskiego.

„Sąd" zakończył prezentacyę trzech nagrodzonych przez konkurs Teatrów Warszawskich sztuk.

Pierwszą była sztuka Kiedrzyńskiego „Dzisiejsi", drugą — „Straceńcy" Konczyńskiego.

„Sąd" nie posiada ani nerwu scenicznego „Dzisiejszych", ani psychologii i maestryi „Straceńców".

Posiada jednak drugą nagrodę.

Przyjrzyjmy się temu, co się dzieje w „Sądzie".

W rodzinie, mieszczańskiej, banalnej, ale

posiadającej mocną etykę — szablonu, odróżniającej jednak złe od dobrego, — nie udał się jeden synek. Coś tam ukradł przy jakimś bakaracie, no i poszedł do więzienia na lat 5.

Pierwszy akt — to właśnie jego powrót z więzienia. Utrzymuje on sam o sobie, że jest odrodzony.

I dziwi się, że rodzina wita go dość obojętnie. Ma do niego słuszny żal. Splamił ją. A przytem, kto ma taką przeszłość, winien wynieść się jak najdalej od dawnego życia, dawnych znajomych, dawnych stosunków i zacząć życie nowe. W nowych warunkach, jeżeli będzie chciał żyć uczciwie — może nawet zyskać szacunek ludzi, którzy go dawniej nie znali. Bo rodzina i dawni znajomi, wprawdzie mają mu przebaczyć i przebaczają, ale nie mogą wszak wyrwać sobie z mózgu pamięci o tem, że ten pan zrobił czyn hańbiący go.

Tymczasem bohater „Sądu" żąda od ludzi rzeczy niemożliwych, mianowicie zupełnego zapomnienia, nieomal czci. Dramat jego jest walką z wiatrakami. A przytem nie widzimy wcale, by się zabierał do nowego życia. Mówi wprawdzie o tem dużo i pięknie, ale gdy zgłasza się do niego jakaś osobistość z pod ciemnej gwiazdy, bandyta we fraku z dawną — wspólniczką, oboje kandydaci na szubienicę, z którymi właśnie ongi był zgrzeszył w domu gry, przyjmuje ich, rozmawia z nimi i daje się namówić do powrotu.

Dramat taki ani budzi grozy, ani wzrusza, ani nie pozywa społeczeństwa na sąd, bo jest sztuczny, oparty na fałszywych przesłankach i na dziwacznem rozumowaniu.

Faktura dramatu bardzo nie stoi na poziomie nagród konkursowych, rysunek figur papierowych nikły, dyalog jednak żywy i inteligentny.

Jako lever du rideau ujrzeliśmy jednoaktowy epizod dramatyczny, który wyszedł z pod pióra pierwszorzędnego talentu dramatopisarskiego Bolesława Gorczyńskiego.

Pomysł — artystyczny, wykonanie — nieco Maeterlinckowskie, pełne nastroju i nastrojem — dramatyczne.

Jakiś współczesny Otello zadręczył żonę na śmierć, gdy jednak umarła, dostał maniackich prześladowań sumienia, a podejrzewając sąsiada swego, że uwodził żonę, — zjawia się u niego z pytaniem, czy tak było, a gdy się dowiaduje, że nie, — odchodzi, tembardziej nieuspokojony.

Mglistość samej faktury, może umyślna, każe przypuszczać, że autor przeznaczył ten epizod na wystawienie w ramach bardzo nastrojowych, literackich, symbolicznych, tajemniczych.

Wykonanie pod względem reżyserskim zepsuło styl. Było zbyt realistyczne.

Gustaw Olechowski.

Z ruchu kobiecego.

W zeszłym miesiącu odbył się w Sztokholmie drugi już w tym roku międzynarodowy zjazd kobiecy. Zjazd zarządu Rady Międzynarodowej. Aczkolwiek bardzo liczny, bo w skład zarządu wchodzą delegowane wszystkich uczestniczących Rad Narodowych poszczególnych krajów, zjazd niemiał charakteru zupełnie publicznego, prasa np. nie we wszystkich zebraniach brała udział.

Przedmiotem obrad były: sprawy finansowe Rady, sprawy prasowe, agitacya powszechnego pokoju, kwestye stanowiska prawnego kobiety, prawo głosowania, sprawy moralne i etyczne, handel żywym towarem, hygjena publiczna, wychodźctwo i wychowanie.

Posiedzeniom przewodniczyła lady Aberdeen, Sztokholm przyjmował gości z przysłowiową gościnnością, popołudnia poświęcano posiedzeniom, ranki zwiedzaniu miasta i okolic a wieczory teatrom i zebraniom.

Jedne z ciekawszych były, w sprawie wychowania, referaty nauczycielki szwedzkiej p. Terserus, oraz miss Ogilvie Gordon, która opisywała utworzone niedawno w Szkocyi i Anglii biura pośrednictwa pracy dla młodzieży kończącej szkoły. Biura takie, urządzone początkowo na próbę, stanowią łącznik między szkołą a życiem. W r. 1908 zgłosiło się do nich 80% młodzieży szkolnej!

Lwią część obrad poświęcono sprawozdaniom z ruchu kobiecego i stanu sprawy kobiecej w sfederowanych krajach. Referaty były z Ameryki, Australii, Niemiec, Francyi, Włoch, Anglii, Szwecyi i t. p. Omawiano gorąco sprawę zrównania programów szkół dla młodzieży płci ob jej, co też kongres uchwalił jednogłośnie.

Królewska para szwedzka okazała i tym razem wytworną uprzejmość, wydając dla gości festyn ogrodowy.

□ W Turynie wyszła niedawno książka prof. Ignazio Brunelli o racyi prawa wyborczego dla kobiet. Wszystkie kobiety książką tą są niezmiernie zainteresowane. Prof. Brunelli dowodzi niezbicie i na podstawach doskonałej logiki, że wobec prawa we Włoszech. wobec nieograniczeń żadnem zastrzeżeniem paragrafu o prawie wyborczem obywatela włoskiego, odsuwanie kobiet od urny, jest tylko tegoż prawa fałszywem tłómaczeniem!

Brunellli jest nawet większym feministą od kobiet włoskich — żąda bowiem dla nich równego z mężczyznami prawa wyborczego, podczas gdy feministki włoskie w petycyi 1907 r. proponowały rozciągnięcie praw tylko na kobiety z wyższym cenzusem majątkowym i wykształceniowym. Brunelli twierdzi, że na wzięciu udziału w życiu publicznem nic nie ucierpi kobiecość ani macierzyństwo, a godność tychże podniesie poziom pracy politycznej.

Prasa włoska, zwłaszcza wpływowy medyolański Corriere de la Sera, wytoczył już zaciętą polemikę przeciw obrońcy praw kobiety współczesnej, ale prof. Brunelli, który argumentuje świetnie, da sobie zapewne z tymi przeciwnikami i radę.

□ Kalifornia przyznała kobietom prawa wyborcze, przez plebiscyt.

Fakt ten ma niezmiernie doniosłe znaczenie dla ruchu kobiecego w Ameryce, Kalifornia jest stanem dużym, kolosalnie bogatym i posiada potężną „sferę wpływów", za jej przykładem pójdą niezawodnie stany okoliczne. Walka była niezmiernie zacięta i zaiste żadna agitacya przez mężczyzn prowadzona nie mogła być bardziej dzielną i nieugiętą. Wyobraźmy sobie warunki lokalne kraju, rozległego 158 tys. mil kwadratowych, z „obywatelami-wyborcami" mieszkającymi na wyżynach gór, prawie niedostępnych i w podziemiach licznych kopalń, o ludności tak mieszanej, że odezwy sufrażystek rozrzucano drukowane w językach: niemieckim, francuskim, hiszpańskim, włoskim, portugalskim, szwedzkim, greckim i chińskim! Dalej uprzytomnijmy sobie, że stan ten produkuje drogie wina i masę wyrobów alkoholicznych, których wytwórcy wiedzą, że najzaciętszemi ich przeciwniczkami są kobiety; posiada niezliczoną moc wielkich przedsiębiorstw i „królów" przemysłu, którzy też nie wątpią, że kobiety obalają trusty wszędzie, gdzie wejdą do parlamentu; wreszcie dwa stronnictwa polityczne, walczące zaciekle i niechcące za nic dopuścić tak olbrzymiego zwiększenia liczby wyborców, n. b. wyborców neutralnych i nieprzekupnych!

Na takiem tle rozegrała się walka o prawa kobiet w Kalifornii i przyniosła zwycięstwo! Pół miliona ludzi zmęczonych tyranią trustów, grynderstwami wielkiego przemysłu i przekupstwem polityków, wezwało kobiety do uzdrowienia stosunków. Agitacya naturalnie była olbrzymia, praca gigantyczna, w San Francisco odbył się pochód, liczący 150 tys. manifestantek, sufrażystki urządziły przeszło 100 meetingów w sferach robotniczych, te sfery też przeważyły szalę zwycięstwa.

□ Prezes ministrów szwedzkich Staaf został członkiem Ligi męskiej praw wyborczych kobiet.

Wielkie dzienniki angielskie zaczynają wychodzić z roli „niemych" w sprawie kobiecej. Świeżo „Standard" wprowadził stałą rubrykę spraw kobiecych, trzymaną w nader uprzejmym tonie, doraźny rezultat drugiego czytania Conciliation Bill'u!

Niestrudzona działaczka polska w Paryżu p. J. Orka, objęła dział polski w piśmie „La Française", oraz w organie Ligi wyborczej, wydawanym z udziałem Deputowanego Buisson: „La ligue d'électeurs". W obu tych wydawnictwach p. Orka informować będzie stale o ruchu kobiecym u nas, pożądanem byłoby, aby wszystkie nasze stowarzyszenia kobiece zechciały nadsyłać do referentki, (M-me Reichman — rue de Penthievre 36, Paris) sprawozdania ze swej działalności, oraz swe broszury i wydawnictwa. Oba pisma bowiem, czytane nietylko we Francyi, ale przez ogół interesujący się sprawą kobiecą w Europie i Ameryce, są doskonałym terenem rozpowszechniania wiadomości o biegu naszego życia i spraw kobiecych.

□ Niezmiernie ciekawą i doniosłą pracę podjęły kobiety australijskie, w maju 1911 r. zawiązano w Londynie komitet wyborczyń Australii i Nowej Zelandyi.

Jednym z głównych celów tego zrzeszenia ma być opracowanie i przeprowadzenie zmian w t. zw. Akcie naturalizacyi. Prawa bowiem naturalizacyjne angielskie inne są niż australijskie — w Australii kobieta wychodząc za mąż za cudzoziemca *pozostaje* nadal obywatelką

australijską. Tymczasem gdy australijka znajdzie się w Anglii, traci swe prawa polityczne, gdy zaś w Anglii wyjdzie za cudzoziemca, traci nawet przynależność obywatelską do rodzinnego kraju.

Zreformowaniem tych właśnie praw zająć się ma świeżo zorganizowany komitet, złożony z mieszkanek tak Anglii, jak Australii i Nowej Zelandyi. Jednym z czynnych doradców prawnych komitetu jest sir John Cockburn, prezes międzynarodowej ligi męskiej dla praw wyborczych kobiet; ten to sir Cockburn, będąc w r. 1892 prezesem ministrów w parlamencie południowo-australijskim, przeprowadził pierwsze prawo o głosowaniu kobiet.

□ Zamach na Lloyd George'a poruszył i wzburzył ogromnie opinię angielską. Gdy ulubiony i popularny lord kanclerz wychodził ze zgromadzenia feministycznego, jakiś mężczyzna rzucił nań... nie bombę a tylko puszkę od sardynek, tak dziwnie jednak silnie i nieszczęśliwie, że Lloyd George zagrożony jest utratą oka i zeszpeceniem twarzy. Fakt sam jest niezmiernie smutny, bo kobiety jako postulat swój zasadniczy w polityce stawiały „oczyszczenie atmosfery" i wniesienie pierwiastku etycznego do życia parlamentu i polityki krajowej. Nie przestając potępiać zasadniczo samego zamachu, zwrócić jednak należy uwagę na smutną etykę Lloyd George'a, który, wypowiadając się niejednokrotnie jako stronnik równouprawnienia, gotował pocichu, „dyplomatycznie" zagładę projektu głosowania kobiet; lepsi są już w tym względzie otwarci przeciwnicy sprawy.

Ha — à la guerre comme à la guerre, powiedział sobie widocznie lord kanclerz, niestety zasada ta uderzyła rykoszetem, bo wojownicze członkinie Womens Suffrage'u zastosowały ją właśnie do niego.

□ Nowy gabinet Szwedzki, sformowany z polecenia króla przez prezesa ministrów Staaff'a, jest in gremio niezmiernie przychylny sprawie kobiecej; w pierwszych dnia grudnia klub liberalny wydał na cześć gabinetu obiad, na który zaproszono wiele wybitnych działaczek kobiet, panie te ugaszczane były specyalnie, sadzane na honorowych miejscach, wprowadzane przez ministrów i t. p. Premier w długiej przemowie gorąco uczcił ruch kobiecy szwedzki, przypisując mu niezmiernie ważne znaczenie społeczne i kulturalne, oraz zaznaczając, że aczkolwiek równiuprawnienie kobiet nie było umieszczone pomiędzy głównemi punktami programu liberalnego, stało się dziś najważniejszym i najpierwszym, wobec stanowiska jakie zajęły kobiety podczas wyborów i wpływu jaki na nie wywarły. Ciekawe jest też stanowisko socyalistek szwedzkich, które dwa lata temu jeszcze stały na gruncie partyjnym — powszechnego głosowania, dziś zaś przechyliły się w stronę postulatów feministek: agitowania i przyjęcia narazie praw wyborczych dla kobiet, na dotychczasowych, dla mężczyzn już istniejących zasadach.

N. J.

□□□□□□□□□□

Przekonawszy się o skuteczności Rondolu moc włosy i Vesty usunęły składowe niewłaściwe i przyjęły środki szczere podziękowanie

L. Wessel

KALOTECHNIKA, Marszałkowska 116, tel. 16-73.

Ze stow. Równouprawn.

W Polskiem Stow. równouprawnienia odbyły się kolejno dwa odczyty d-ra Łapińskiej. O nerwowości u kobiet.

Temat ten niezwykle żywotny zgromadził liczny zastęp słuchaczek, przepełniających salki Stowarzyszenia. W pierwszej konferencyi scharakteryzowała dr. Łapińska dwa typy nerwowości; neurastenię i histeryę. W drugim wykładzie zapoznała nas ze środkami zaradczemi na te cierpienia. Najpoważniejszym z tych środków jest, zdaniem prelegentki, odpowiedni tryb życia i zajęć. Bardzo ciekawie scharakteryzowała dr. Łapińska wpływ snu na zdrowotność i różnice zachodzące w potrzebie ilości snu u poszczególnych osobników. Jakkolwiek od wieku, stanu zdrowia i skłonności dziedzicznych zależy ta potrzeba dłuższego lub krótszego snu, to jednak ogólnie jest on dla wszystkich niezbędnym środkiem leczącym i odżywiającym nerwy. Szkodliwą jest w tym względzie praca nocna, używanie środków przeciwsennych jak mocna kawa i herbata, a z drugiej strony nadużywanie nasenników. Ważniejszemi jednak od zaradczych, są, zdaniem prelegentki, środki zapobiegające nerwowości. Tu jedynym radykalnym jest wychowanie i to nietylko hygiena niemowląt, ale hygiena matki w czasie ciąży, zwłaszcza unikanie alkoholizmu, w najskromniejszej nawet jego formie. Po urodzeniu się dziecka, należy od chwili jego przyjścia na świat rozpocząć racyonalne pielęgnowanie nerwów. Dobre odżywianie, czystość, spokój, nie przemęczanie dzieci nauką, unikanie rozrywek tłumnych i gwarnych jak teatry i liczne zebrania, oto sposób wyhodowania dzieci z silnemi nerwami. U młodzieży baczną uwagę zwrócić trzeba na okres dojrzewania płciowego. Tu matka jedynie uświadomić powinna dzieci, a następnie oddalać od nich niezdrową lekturę erotyczną, zachęcać do sportów, zabaw na powietrzu, a z drugiej strony do poważnego myślenia nad zawodem, który chciałyby obrać, praca bowiem życiowa z zamiłowaniem i we właściwym kierunku podjęta, stanowi jedną z ważniejszych podstaw zdrowia i dobrego stanu nerwów.

W tem co tyczy się spraw wychowania, wskazała dr. Łapińska wielki obowiązek ciążący na kobiecie matce, lecz i wielką jej siłę. Kobieta, upośledzona dotąd w maszynie społecznej, ma jednak niezaprzeczenie wielką moralną władzę jako matka, powinna więc wpływu tego używać silnie i świadomie.

Za niezwykle jasny, pięknie wypowiedziany wykład dziękowano gorąco prelegentce.

Środy członkowskie w Stowarzyszeniu wypełniają wciąż aktualne dyskusye, przeciągające się do późnej godziny. Przedyskutowano tak projekt ministeryalny o rozszerzeniu praw mężatek, potem ważniejsze objawy ruchu kobiecego na zachodzie. Wreszcie sprawę reformy kodeksu cywilnego, dotyczącego praw kobiety. Zebrani po długich rozprawach, oświetlonych krytycznym poglądem prawników, mec. Goldsteina i Łypacewicza, przyjęli w ogólnych zarysach uchwałę zniesienia wszelkich ograniczeń kobiety jako takiej, (niemożności świadczenia przy aktach stanu cywilnego, oraz opiekowania się dziećmi cudzemi), dalej uznano za pożądane usamowolnienie mężatki we wszelkich

czynnościach życia cywilnego, w zarządzie własnym majątkiem i możności pracy. Dalsze konferencye poświęcone być mają równouprawnieniu kobiety jako matki. Po dyskusyi i opracowaniu, projekt komisyi prawniczej w Stow. równouprawnienia, wniesiony zostanie do Tow. Prawniczego. *N. J.*

Towarzystwo Akcyjne

„Fr. Karpiński w Warszawie"

Ul. Elektoralna 35, tel. 600.

poleca

Karpińskiego

Mydło Alkaliczne

do mycia twarzy u osób z cerą tłustą, połyskującą, skłonną do wągrów i pryszczy, oraz przy łuszczeniu się skóry. Cena kop. 40 za szt.

W wypadkach uporczywszych używać należy

Karpińskiego

Mydła Alkalicznego Nr. 2

Cena kop. 40 za szt.

Karpińskiego

Mydła Ogórkowe

hygieniczne, usuwające opaleniznę i piegi. Cena kop. 50 za szt.

Karpińskiego

Mydła Neutralne

znakomity środek hygieniczny do pielęgnowania twarzy, rąk oraz ciała u dzieci. Cena kop. 40 za szt.

Żądać wszędzie.

Polityka daleka i blizka.

Horyzont chiński niema, jak dotąd, zamiaru wyjaśnić się na czas dłuższy. Rewolucyoniści dążą uporczywie i konsekwentnie do swego celu — zniesienia dynastyi mandżurskiej. Jakkolwiek cel ten jest jawny, Sun-Jat-Sen, a raczej rewolucyi prezydent rzeczypospolitej chińskiej, uważa za wskazane owijać go... w dyplomacyę. Twierdzi on, że nie czuje osobiście żadnej nienawiści do dynastyi Mandżu, jako takiej i tylko — zdaniem jego, Chiny żyć powinny w systemie rządów republikańskich. Tak czy owak Sun-Jat-Sen jest wrogiem monarchii w swej ojczyznie, a dowiódł że potrafi niszczyć to co uważa za zbyteczne.

Z drugiej strony Juan-Szikaj zapewnia że ma przy sobie wiernych obrońców monarchii konstytucyjnej, dodać jednak trzeba, że to mówi się głośno w manifestach i rozkazach do wojsk, pocichu zaś wyjednywa sobie dyktator konstytucyi od wojska rewolucyonistów jedne za drugiemi zawieszenia broni. Ale jest to może łatwo zrozumiała potrzeba dobrego „przygotowania się" do boju, dziwne tylko, że rewolucyoniści tak łatwo te życzenia uwzględniają.

Wogóle zapał wojenny ogarnął narody, świeżo za przykładem zięcia poszedł teść i maleńkie Czarnogórze zaczyna także grozić Turcyi, występując z pretensyami o napady pograniczne, minister spraw zewnętrznych z Cetynii obiecuje zwrócić się do mocarstw, a jeśli to nie pomoże, (ale w jakiem znaczeniu? czy że nie usłucha Turcya, czy też... owe mocarstwa) rząd czarnogórski chwyci się środków *jeszcze* energiczniejszych!

Czarnogórze dało niejednokrotnie dowody bohaterstwa w obronie swych praw i zasługuje za to na całą sympatyę i uznanie, ale dzisiejsze brząkanie szabelką za plecami zięcia, jest trochę naiwne i śmieszne.

Do surm wojennych przybywa jeszcze jedna w tym roku jubileuszowym wielkich wojen, oto grozi wojną Rosyi z Austryą i dzieli tę ostatnią, wprawdzie dotąd tylko na szpaltach Now. Wremieni, p. Mieńszykow.

N. J.

ZNAKOMITA w SMAKU

SMIETANKA STERELIZOWANA

„ANTONIEWO"

ABONENTOM 12½ k. ZA BUT. Z DOSTAWĄ.

ZAMAWIAĆ TELEFONICZNIE 18-60

LABOR. PRZETWORÓW MLECZNYCH, Nowy-Świat 32 róg Foksal.

Treść numeru:

Jedenasta plaga - nie egipska, przez T. Prażmowską.— Moralność i postęp, przez Emilię Węsławską. Odpowiedź na artykuł „U steru", przez Natalię Jastrzębską. - Dziad i baba, przez J. I. Kraszewskiego. — Cień, przez Wiktora Gomulickiego — Nad mrocznym lasem, przez Wiktora Dzierżanowskiego. — Dank Napoleona, przez Macieja Wierzbińskiego. Pisma Bronisława Chlebowskiego, przez Henryka Gallego. Z żałobnej karty, przez R. — Z listów do „Bluszczu", przez M. W. — Z teatru, przez Gustawa Olechowskiego. - Z ruchu kobiecego, przez N. J. — Ze stow. Równouprawn., przez N. J. — Polityka daleka i blizka, przez N. J.

Do niniejszego numeru dołącza się:

1) Dodatek powieściowy „Na nowiu" ark. 13.

Z powodu świąt st. st. i zatrzymania klisz na komorze w następnym numerze zamieścimy dwa dodatki z modami.

Do niniejszego numeru dołącza się dla wszystkich prenumeratorów prospekt „Wieczorów rodzinnych".

E. Gessnera APTEKA w WARSZKWIE 27 JEROZOLIMSKA 27 POLECA w cierpieniach płuc, skrofułach, angielskiej chorobie, wycieńczeniu u dzieci, chronicznych zapaleniach oskrzeli i t. p. — — — TRANOWĄ **Emulsyę**

DENTYSTA Zofja Gutzman Korony złote, plomby porcelanowe, zęby bez podniebienia. Szpitalna 3.

Sarg'a **KALODONT** Niezbędny KREM i ELIKSIR do ZĘBÓW Utrzymuje zęby biało, czysto i zdrowo. żądać wszędzie

Fabryka i Magazyn Wyrobów Jubilerskich **D. EPSTEINA** Warszawa, Marszałkowska 98. Tel. 167-66 Piękna biżuterja — pierwszorzędne zegarki szwajcarskie. Obstalun i reperacje, złocenie, srebrzenie. Kupno złota, srebra i drogich kamieni.

Każdy z łatwością odświeży **Meble** i wszelkie wyroby skórzane **Meblinem.** — Składy Apteczne Skład główny RÓŻYCKI Marszałkowska Nr. 82. Pudełko 45 kop.

K. Zaydler & L. Babińska ul. Marszałkowska №. 77, tel. №. 123-35. Przyjmuje wyprawy ślubne ze swoich i powierzonych materyałów. Wielki wybór haftów Szwajcarskich i krajowych valenciennes i koronek. Wyprawy dziecinne. Ceny nizkie.

Artystyczne Kwiaty Wandy Siwińskiej Krak.-Przedmieście 61. 3 wielkie medale srebrne 2 wielkie medale złote.

MAGAZYNY KONFEKCYI DAMSKIEJ I DZIECINNEJ **Bronisławy Szyszko** 314 Warszawa, Chmielna 37, Telefonu 122-05, Senatorska 6; Tel. 194.40 Elektoralna 43, Tel. 111.07 Poleca: Bluzki, Kostyumy, Suknie, Peniuary, Halki, Matinki, Bieliznę damską, ubranka dziecinne. Mundurki dla pensyonarek, palta, berety itd. Ponadto: Paski, żaboty pończochy itp. Suknie reformowane. Wykończenie staranne. Punktualność. Ceny przystępne. Zamówienia z prowincyi uskuteczniają się natychmiastowo.

NAJLEPSZY ŚRODEK DO MYCIA WŁOSÓW SHAMPOOING DRA HARROLDA

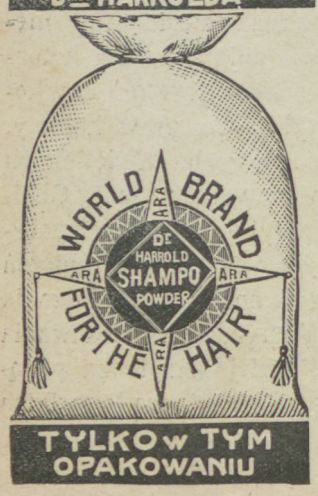

TYLKO w TYM OPAKOWANIU

Sprzedaż w perfumer. skład. apteczn i u fryzyerów.

MAGAZYN FINLANDZKI SENATORSKA 32 WARSZAWA **J. Biernat**

PŁÓTNO—STOŁOWIZNA oraz wszelkie wyroby lniane

Najlepsze mydła udelikatniające skórę są **Mydła hyg. przetłuszczone** wyrobu Apteki M. MALINOWSKIEGO Nowy-Swiat 35, w Warszawie.

Zakład **MARION & C-o** Fryzjerski Salony dla PAŃ i PANÓW Wszelkie wyroby z włosów. Wykonanie staranne. Perfumerya, Galanterya, Specyalność transformation, wykwintne czesanie. MARSZAŁKOWSKA Nr. 50, Telefon № 207-80.

Ewaryst

Perfumerya i Zakład fryzjerski.

Wysyłka pocztą.

Marszałkowska 114, tel. 30-17.

poleca na podarki gwiazdkowe:

Ostatnie nowości Perfum, Piękne nesesery do „manicure“, Grzebienie i szpilki do włosów szyldkretowe, ozdobne i gładkie Szpilki do kapeluszy. Najnowsze paryskie ozdoby do włosów.

TABLETKI KEFIROWE do wyrobu domowego KEFIRU wyrabiane w Aptece i Fabryce Tabletek, **Modlińskiego i Lilpopa** dostać można w Warszawie, w Aptekach i Składach Aptecznych.

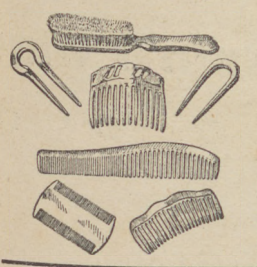

Leonja Rokicka

Nowy-Świat № 59.

POLECA: grzebienie, szczotki, perfumeryę, sztuczną biżuterję oraz inną galanterye damską.

Najnowsze Roboty Ręczne

rysowane, zaczęte i gotowe, oraz wszelkie do nich dodatki, Motywy i koronki: Cluny, Filet, Flandre, Irlande i Venise. Story, zazdrostki, kapy, serwety, poduszki, abażury i t. d. ręcznie haftowane — gotowe i na zamówienia.

Pracownia własna

Czysta № 8. telef. № 34 67. **Józef Rozmanit.**

Bracia CHOMICZ WARSZAWA ul. Zgoda 8.

polecają **świeże pierwszej jakości**

NASIONA warzywne, kwiatowe pastewne

Firma otrzymała (III rok istnienia) dwie nagrody **najwyższe:** MED. ZŁOTY Centr. Tow. Rolniczego oraz DYPLOM UZNANIA Lub. Tow. Rolniczego.

Cenniki gratis

Kierownicy firmy: Jan Chomicz, agronom z Puław
Józef Chomicz—pomolog kandydat nauk przyrodniczych.

Niema Siwych Włosów

kto używa **Teinture Vegetal**

D-ra chemji I. Tarin w Paryżu. Teinture Vegetal NATYCHMIASTOWO i TRWALE nieodbarwiając przywraca włosom naturalny kolor. BARWI WE WSZYSTKICH NAJSUBTELNIEJSZYCH ODCIENIACH. SPRZEDAŻ DETALICZNA w Zakładzie perfumeryjno fryzjerskim.

M. SŁOMCZEWSKIEGO. Warszawa Al. Jerozolimskie 39, tel. 115-00

Hurtowy skład i wyłączna sprzedaż na Królestwo i Cesarstwo u firmy Z. DOBROWOLSKI WARSZAWA Chmielna 36, telefon 110-73.

ROBES & CONFECTIONS

ANNE THONNES

VARSOVIE rue Czysta № 2. Téléphone 31-03.

W. KLIMECKI

Zawiadamia niniejszem że otworzył na nowo dawny swój **Gabinet kosmetyczny** przy ulicy Niecałej Nr. 5. Telefon 33-74. Masaże odmładzające, pielęgnowanie włosów, usuwanie wągrów i t. p.

Stosowanie najnowszych środków kosmetycznych.

„Hygiena Twarzy i Rąk“

wszechświatowej sławy **„Simi“** (PŁYN)

Udelikatnia skórę, leczy radykalnie i usuwa piegi, wągry, liszaje, krosty, oraz połysk twarzy. **Cena flakonu Rb. 1.70.**

Dostać można w większych składach aptecznych i perfumerjach.

Przedstawiciel **JÓZEF GROSMAN,**

Warszawa, Złota 16, telefon 184-44.

FABRYKA SKŁAD KAFLI I PIECÓW GŁADKICH I MAJALIKOWYCH

S. HALIS

Warecka Nr. 14, telefon 46-62.

Dostawa i budowa wszelkich pieców kuchen.

PRACOWNIA HAFTÓW

H. Semkowskiej

Egzystująca od r. 1878

przy ul. Ś-to Krzyskiej 35

Przeniesioną została na ul. Sienną Nr. 26—1.

Pierwszorzędne Biuro Nauczycielsk.

KARPIŃSKIEJ

POLECA: nauczycieli, nauczycielki, bony, francuzki, niemki, angielki.

Warszawa Moniuszki 7 365

Biuro Nauczycielskie „Z. JASIŃSKIEJ“

poleca nauczycieli, nauczycielki, bony, freblanki, ochroniarki. — Sprowadza angielki, francuzki, niemki z własnych biur zagranicznych.

WARSZAWA. WŁODZIMIERSKA 19.

F. Trojanowski

FRYZJER Bielańska № 8

wejście od Daniłowiczowskiej.

Salony dla Pań i Panów. Wyroby z włosów. Dewizą firmy punktualność i akuratność w wykończeniu perfumerja krajowa i zagraniczna.

Biuro Nauczycielskie

Maryi Noworyto

b. nauczycielki

poleca: nauczycielki, nauczycieli, bony, freblanki, cudzoziemki. — Sprowadza angielki, francuzki, niemki. **Warszawa, Chmielna Nr. 30.**

S. Przeździecki 5 Mazowiecka 5.

Poleca w wielkim wyborze ubrania dziecięce i uczniowskie oraz **Nowowprowadzony dział sukienek i kostyumów dla panienek** na każdy wiek.

Robota wykwintna. Ceny umiarkowane.

NAJLEPSZA IMITACYA W ŚWIECIE

— — W SZCZERO ZŁOTEJ I SREBRNEJ OPRAWIE — —

Magasin Français **G. BARGOIN** Varsovie,

RUE NOWY-ŚWIAT № 45. Telephon № 72-68.

Bieliznę!! od najskromniejszej do najwykwintniejsze polecają na podarki **GWIAZDKOWE**

B. Lissner & E. Holler

Warszawa, Wspólna 47, telefon 120-67.

Ceny niskie bo w prywatnem mieszkaniu.

Administracya „Bluszczu“ wysyła za zaliczeniem rysunki na wszelkie hafty po przedstawieniu motywów.

NAGRODZONA ZŁOTYM MEDALEM

Pracownia haftów artystycznych oraz koronkarstwa i sztuki stosowanej

„POLONIA“

Warszawa, Zielna 24 m. 17. Tel. 236-61.

---

40 dni Bezpłatnie.

Jeżeli Pani w przeciągu 40 dni nie nauczy się swobodnie pisać, czytać po niemiecku, francusku, angielsku i łacinie podług naszych samouczków wydanych najnowszym systemem (wszystkie inne — reklamy) ZWRACAMY PIENIĄDZE. Cena samouczka jednego języka z przesyłką za zaliczeniem 1 rb. 10 kop. 2-ch 1 rb. 90 kop. 3-ch 2 rb. 80 kop. 4-ch 3 rb. 65 kop. Obstalunki wypełnia jedyny na Rossję skład Petersburg. Petersb. strona Bolszoj prosp. 56-33. J. K. Peters.

„Sidonie“ Właścicielka wytwornego Magazynu Mód powróciła z Paryża zaopatrzona w najwspanialsze Modele sezonowe. Warszawa, ulica Czysta № 2. Telefon 70-82.

SKŁAD **nici** Wądołkowskiej ul. CHMIELNA 11.

Woalki, wstążki, koronki, galanterya i t. d. — — oraz przybory do robót ręcznych. — —

Zajrzyjcie tylko

do zwykłych, wyściełanych materaców, jakie wygodne siedlisko stanowią one dla kurzu, moli i robactwa

i porównajcie

je z naszemi hygienicznemi, patentowanemi materacami, składającemi się jedynie z podwójnych, elastycznych sprężyn stalowych i wiązań metalowych.

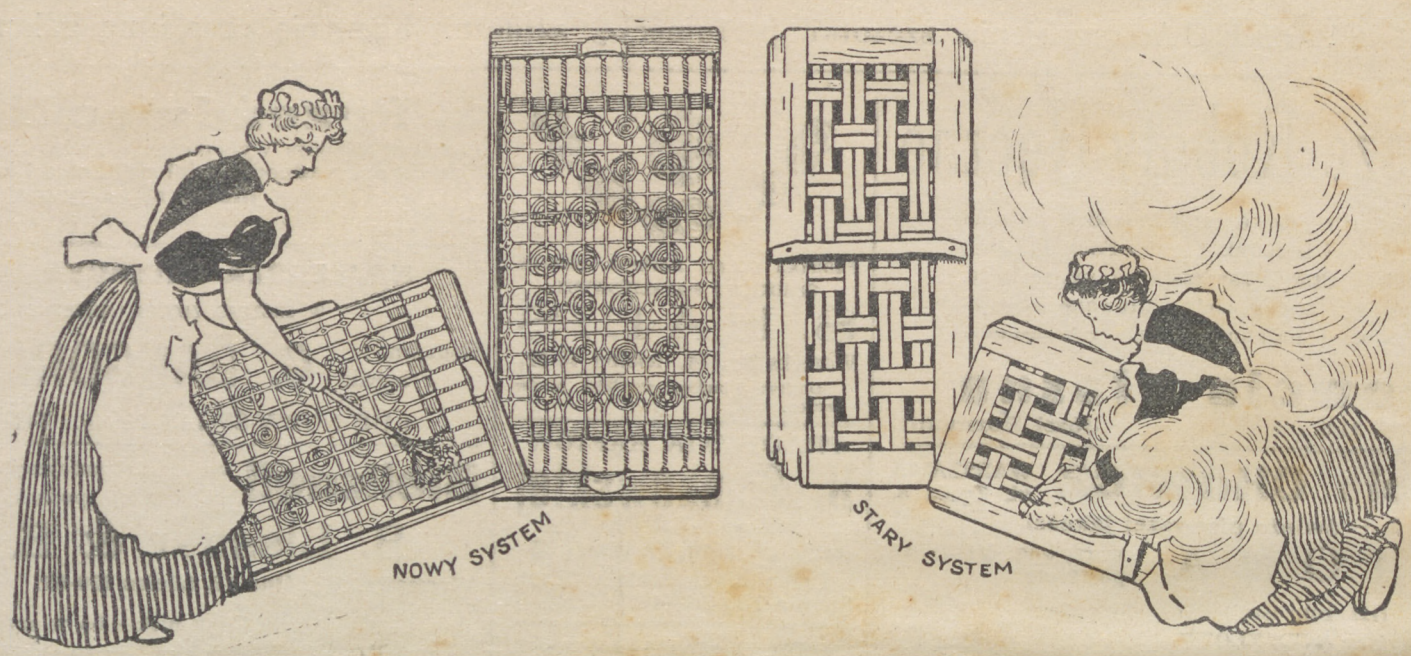

Warszawska Fabryka Hygienicznych Materaców Sprężynowych

(Patent Knippenberga)

w WARSZAWIE, ul. OKOPOWA Nr. 14, telefon Nr. 76-03 i 1-26.

Do nabycia we wszystkich lepszych magazynach.

Fryzyer Roman Pisarski

ZŁOTA 16, telefon 211-71.

Salony dla Pań i Panów, urządzone podług ostatnich wymagań hygieny i komfortu. Wszelkie wyroby z włosów wykonywa artystycznie. Perfumerja krajowa i zagraniczna. Mycie głowy za pomocą elektryczności. Manicure.

„Helena-Walerja“ Marszałkowska 38 piętro, tel. 181-31

Pracownia **Sukien, Kostjumów i Kapeluszy**

poleca gustowne i pierwszorzędne wykonanie.

SPECYALNA SZKOŁA KROJU

K. Głodzińskiego

Warszawa Długa 26, telef. 59-84

oraz w Moskwie i Kijowie.

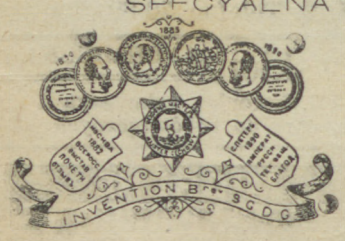

Przyjmuje na kursa codzienne. Nauka prowadzi się pod kierunkiem **L. Głodzińskiej** podług najnowszej i najłatwiejszej metody. K. Głodziński nagrodzony medalami złotemi i srebrnemi za wzorową naukę i opracowanie najlepszych podręczników. Patenty cechowe. Cena metody sukien wyd. 25 w jęz. polsk. i wyd. 24-e w jęz. ros. 3 rb 75 kop. Linijki ułatwiające naukę rysunku form 1 rb. 95 kop., wysyła się pocztą zazaliczeniem.

PANTOFELKI BALOWE w różnych kolorach, oraz **KAUKAZKIE HAFTOWANE** wyrób własny ceny fabryczne

MOULIN

Nowy-Swiat 64/9.

LEK. DENTYSTA

Marja Libera

Wilcza 30 m 5, od 10—1 i 3—6 pp.

D-r. Bogusławski

przyjmuje wyłącznie **z chorobami kobiecemi** od 4 do 6 popoł. **Żórawia 33**, tel. 243 56.

MAGAZYN I PRACOWNIA GORSETÓW

MARYI Z. WAGNER

poleca Gorsety w Wielkim wyborze. Wykończenie staranne. Ceny bardzo przystępne. Widok № 26 róg Marszałkowskiej.

Zaleca się wodę odżywczą **„JUNO“** Centralnego Laboratorjum Chemicznego Woda ta przywraca siwym włosom ich pierwotny naturalny kolor. Sprzedaż w składach aptecznych.

Laboratorjum Kosmetyczne **„Le Trocadéro“ w Paryżu**

poleca swe doskonałe wyroby udelikatniające i upiększające cerę, jako to **kremy, blelidła, róż**

Reprezentanci Loth i Dobrowolski, Warszawa, Natolińska № 13, telefon № 89 38.

Krojczyni pierwszorzędnych magazynów w PARYŻU otworzyła

Maison Française de Couture „Henriette“

VARSOVIE, rue **Boduena 3**, Telefon 139-31.

— — Krój i wykończenie wykwintne, ceny przystępne. — —

Redaktorka i wydawczyni: **Zofia Seidlerowa**.

Druk Piotra Laskauera, Warszawa, Nowy-Świat 41